# ŁOWIEC NA POSAGI.

(Z księgi wspomnień K. Wł. Wojcickiego.)

Wieś *Zagaje* leżała w prześlicznéj okolicy po nad Narwią. Na wyniosłém wzgórzu stał stary obszerny modrzewiowy dworzec, ocieniony wieńcem lip dwuwiekowych, pomiędzy któremi zieleniało kilkanaście dębów, co pewnie pamiętały Zygmuntowskie czasy.

Dwór od rzeki rozdzielała tylko łąka mała a za nią parów głęboki. Z jego okien widna cała Narew i z piérwszą wiosną gdy lody pękły, a bociany na dębach w gniazdach swoich zaklekotały, słychać było nawoływania flisów i orylów, co z tratwami przepływali do Wisły; ich piosnki ochocze, a pod wieczór, ujrzałeś ogniska żeglarzy naszych rozpalone w parowie gdzie zwykłą przystań mieli.

Od strony południa rozciągała się wieś ludna, a za drugim parowem z przeciwnéj strony, w małéj dolinie, stał mały dworek z zabudowaniami dworskiemi zwany *Zacisze*, już do innego dziedzica należący. Było to dawne wójtostwo nadane prawem wieczystym rodzinie Nekandów przez Jana Sobieskiego, za rycerską dzielność rotmistrza Stanisława pod Chocimem 1673 r. i pod Wiedniem w dziesięć lat późniéj. We dworze zagajskim, mieszkał pułkownik *Ligenza* wdowiec od lat kilku z dwojgiem dzieci. Ale nim przystąpimy do opowiedzenia losów téj rodziny, musimy wspomnieć naprzód o samym pułkowniku.

Syn z rodu historycznego niegdyś imienia, a podupadłego już od dwóch niemal wieków, w ośmnastym roku życia wszedł do wojska z początkiem 1807 r. Bił się dzielnie, odbył wszystkie kampanje, patrzył na klęskę pod Berezyną, walczył pod Lipskiem i następnie okryty ranami, ze stopniem pułkownika i krzyżem legji honorowéj, wziąwszy dymissję wrócił do kraju. Cały majątek stanowiło 200 napoleondorów i mała po ojcu zagroda szlachecka złożona z trzech zagonów i zabudowań, gdzie brat młodszy gospodarzył, utrzymując przy sobie siostrę wdowę z pięciorgiem drobnéj dziatwy.



Major Zaremba i stary kapral.

Odpocząwszy po trudach w Warszawie, wybierał się do rodzinnego gniazda, gdy niespodzianie spotkał w ogrodzie Krasińskich, dawnego towarzysza broni, majora Zarembę, który w tym samym pułku dowodził bataljonem i wracał do żony, córki jedynaczki, i wioski swojéj, których tyle lat nie widział. Dowiedziawszy się o zamiarze pułkownika, tyle prośbami swymi wyjednał, że ten dał mu słowo że nazajutrz wraz z nim pojedzie do jego Dąbrowy. Jakoż równo ze wschodem słońca, obaj wojacy, opuścili stolicę.

Nie będziemy opisywali radości jaka opromieniła dwór w Dąbrowie i szczęścia przywiązanéj żony i córki czternastoletniéj Zaremby; sędziwy wojak słowa wyrzec nie mógł,

tylko całował małżonkę drogą, pieścił jedynaczkę i płakał.

Pułkownik stał na uboczu długą chwilę, za nim major spostrzegł, że w uniesieniu radosném, zapomniał o swym dowódzcy i przyjacielu. Otarłszy łzy co prędzéj, porwał go za rękę, a przedstawiając go żonie:

— Kasiu droga, to mój pułkownik i towarzysz! kochaj go szczerze, bo jeżeli widzisz przed sobą swego Józefa, to jemu podziękuj, on mi dwa razy ocalił życie, a ty malczyku, kochaj także a serdecznie mego pułkownika, i bądź wdzięczną za życie swego ojca.

Matka pochwyciła za rękę pułkownika i nim zdążył się spostrzedz, ucałowała z płaczem, słowa nie wyrzekłszy; młoda Zofja zarumieniona wzruszeniem, złożywszy drobne rączki jakby do modlitwy, przemówiła dźwięcznym a rzewnym głosem.

— Panie pułkowniku! całe moje życie będę ci wdzięczną.

Ligenza, odurzony tak niespodzianym przyjęciem i powitaniem, nie wiedział co począć. Całował ręce matki, a kłaniał się i kłaniał pięknéj Zofji, nie mogąc nic mówić. Krew uderzyła mu do głowy, oczy zabłysły niezwykłym ogniem i w téj chwili zajaśniał całą urodą, którą ożywił wyraz młodości, liczył bowiem wtedy rok trzydziesty szósty i od majora był młodszy o lat pietnaście.

Zaraz matka i córka zajęły się przygotowaniem *kwatery* dla pułkownika i jego ordynansa pana kaprala *Jacka Gila*, który od chwili przywdziania munduru przez pułkownika, był nieodstępnym jego towarzyszem.

W bocznéj oficynie murowanéj, przyrządzono trzy pokoiki, zaopatrzone we wszelkie wygody, do których zaraz gospodarz *wkwaterował* swego ukochanego gościa.

Było to w roku 1817. Dwa lata upłynęło od owéj chwili, a pułkownik otoczony troskliwością i przyjaźnią zacnéj rodziny, nie pomyślał o wyjeździe. Przesłał bratu hojną zapomogę, bo prawie połowę tego co sam posiadał, i używał swobodnie spokoju i szczęścia.

Nadchodziły Zielone Świątki, major uważał dziwne zasępienie *pana Stanisława*, jak nazywał pułkownika. Ten coraz mniéj mówił, zamyślał się tak, że niesłyszał jak go albo sam o co zapytał, albo żona jego przemówiła, tylko na dźwięczny głos Zofji, budził się ze swéj zadumy, zwracał do niéj oblicze, z wymownem spojrzeniem i za całą odpowiedź słyszała głębokie westchnienie.

— Moja Kasiu! rzekł pod wieczór gdy byli sami do żony major, co się stało naszemu panu Stanisławowi?

— Alboż ja wiem, mój Józiu. Właśnie miałam się ciebie zapytać o toż samo.

— Taki jest smutny i co dawniéj lubił wspominać dawne nasze czasy i odbyte kampanje, teraz milczy a wzdycha i wzdycha. Zosiu! mówił zwróciwszy się do córki, która siedziała przy krosienkach, a słuchając rozmowy rodziców, oblała się rumieńcem.

— Alboż ja wiem, odrzekła z bijącém sercem i drżącym głosem, teraz nie mogę dopytać się u niego i słowa. Bo proszę mamy i papy, mówiła z coraz rosnącym zapałem, powstawszy od krosienek, dawniéj pan Stanisław, chcę mówić pułkownik, bawił się ochoczo, biegaliśmy po ogrodzie, pływali łódką po naszéj ślicznéj Narwi, ale od czasu jak nas zaczął odwiedzać syn tego bogatego radcy z za *Nowego Dworu*, nagle sposępniał i ani poznać mogę tak miłego niegdyś i przyjemnego pułkownika.

Major spojrzał wymownie na żonę, która się uśmiechnęła radośnie, zaczął pokręcać wąsa i z wesołém obliczem począł sobie żołnierską piosenkę nócić, a Zofja ochłonąwszy z zapału, popatrzywszy zdziwiona na rodziców, opuściła smutnie główkę i usiadła napowrót przy krosienkach, ale nie długo żal ścisnął jéj serce, i niebieskie piękne oczy zaszły łzami.

W tę właśnie porę, w kwaterze Ligenzy dziwna zaszła zmiana. *Jacek* kapral kończył pakowanie rzeczy pułkownika, który chodził wielkim krokiem po pokoju, z opuszczoną głową na piersi, z cicha szepcąc do siebie przerywanym głosem:

— Trzeba odjechać.... próżne głupie nadzieje! gdzież mnie myśleć o tém! Pojadę zakopię się w zaścianku ojcowskim, będę sam orał i pracował i ukryję się przed światem na zawsze!

— Jacusiu! rzekł głośno, ty mnie nigdy nie opuścisz!

Stary kapral stanął, wyprostował się, a salutując po żołniersku.

— Nigdy! panie pułkowniku! a głos jego drżał ze wzruszenia. Ale zkąd takie smutne myśli, i dlaczego tak nagle opuszczamy pana majora? Tacy ludziska poczciwi, tak serdecznie nas podejmują i goszczą, kochają tak pana pułkownika, obu nam jak w raju! A panienka ten aniołek taki śliczny, to do rany przyłożyć. Wczoraj proszę pana pułkownika, mówił cichszym głosem, zbliżywszy się więcéj, siedziałem na kamieniu przed lipą i paliłem fajkę, aż tu razem poczułem na oczach dwie pachnące rączki, a gładkie by aksamit. To była panna majorówna. Zerwałam się na równe nogi, schowałem z drejkenigem fajkę i salutowałem po naszemu. A panienka spojrzała mi w oczy i owym słowiczym głosikiem mówi:

— Mój panie Jacenty! mam prośbę do pana kaprala.

— Co panna majorówna powie, wszystko zrobię.

— Ale zaręczasz mi słowem honoru, że powiesz pan kapral prawdę?

— Słowo honoru!

— Powiedz mi, powiedz mi mój kochany panie Jacenty, co jest naszemu pułkownikowi? Taki smutny nic nie mówi. Nieraz na

płacz mi się zbiera, patrząc na jego troski. Czy nie chory?

— Nie skarżył się na nic mój pułkownik, zdaje mi się że zdrów zupełnie, odrzekłem.

— Ale dla czego taki smutny?

— Niewiem proszę panny majorównéj, może dla tego że przed świętami wyjeżdżamy na Podlasie.

— Jakto! zawołała panienka, blednąc jak płótno, więc chce odjechać, nas, co go tak kochamy, opuścić?

I biédactwo upadło na ławeczkę i zaczęło płakać tak rzewnie, aż mi łzy wąsiska zmoczyły.

Pułkownik na te słowa zadrżał i krzyknął gniewnie.

— I ty stary nic mi zaraz nie powiedziałeś! I ty, niby mnie kochasz?

I załamał ręce z rozpaczą.

Kapral wielkie oczy zrobił i stał pomieszany nie śmiejąc spojrzéć w oczy swemu dowódzcy.

Pułkownik nie ochłonął ze swego wzruszenia, gdy nagle drzwi się otworzyły i stanął w pokoiku pan major, a widząc popakowane rzeczy, cofnął się zdziwiony, i smutnym odezwał się głosem:

— A.... a.... pan pułkownik nas opuszczasz, nie mówiąc nic o swoim zamiarze ani mnie, ani żonie, ani Zosi naszéj?

Gdy jednakże ujrzał pomieszanie jego, jak zawstydzony spuścił w dół oczy, po chwili wzruszenia zawołał:

— Hola! hola! tak nie można. Jacuś rozpakuj rzeczy, przywróć w kwaterze pułkownika porządek, a ja was obu aresztuję.

Wymówiwszy te słowa, przystąpił do Ligenzy i roztworzył ramiona w które się rzucił pułkownik, ukrywając twarz załzawioną.

— Czy to się godziło, z cicha wyszeptał Zaremba, jakbyś niewiedział żebyśmy się z Zosią zapłakali po tobie?

Jacenty w mgnieniu oka, uporządkował napowrót kwaterę, i wyniósł się cichaczem, gdy major usiadłszy zaczął cichą rozmowę z pułkownikiem.

Uradowany pobiegł do ogrodu; pod rozłożystym dębem siedziała Zofja, blada i zapłakana. Ujrzawszy zdala starego kaprala, jak podążał, zerwała się z ławki. Jacenty stanął, a odetchnąwszy i salutując po swojemu.

— Raportuję pannie majorównie, że już nie wyjeżdżamy, kwatera nasza w dawnym porządku i opowiedział całą scenę widzianą.

Zosia skrasniała rumieńcem, wypogodziła oblicze, a podając przyjaźnie rękę kapralowi, przemówiła:

— Dziękuję serdecznie panu Jacentemu. Niech ci Bóg to nagrodzi, bo dla mnie to bardzo radosna nowina

Jacek pocałował w rączkę Zosię, a gdy ta w wesołych poskokach pobiegła do dworu, nałożył sobie fajkę, zapalił i śpiewając ulubioną piosnkę, zaczął maszerować *podwójnym krokiem*, co było oznaką najlepszego humoru starego żołnierza. Zosia uradowana zaledwie wbiegła na próg otwartych drzwi pokoju od ogrodu, gdy ujrzała nadchodzącego pułkownika, który na jéj widok, stanął pomieszany.

Dziewczę upiekło potężnego raka, ale hamując swoje wzruszenie, wyciągnęła obie rączki, które pochwycił i okrył pocałunkami.

— Pan pułkownik chciał nas opuścić, a czy to się godziło?

— Już nie jadę droga pani, odrzekł z cicha, chyba pani rozkażesz mi opuścić to miejsce?

— O ja nigdy! nigdy panie Stanisławie, prędzejbym umarła!

I spojrzała na niego takiemi oczyma, że olśniony ich blaskiem, pułkownik ukląkł przed Zofją i przemówił drżącym głosem:

— I dla mnie rozłączenie to byłoby powolną śmiercią.

Stary kapral który śledził pannę majorównę, stał właśnie przy bocznym oknie, słyszał i widział wszystko. Dał potém nurka i chyłkiem wrócił do kwatery. Tu usiadłszy sobie wygodnie w krześle pułkownika, po prześpiewaniu ulubionéj piosnki, zaczął coraz głośniéj mówić z sobą.

— A więc tedy mój Jacusiu, interes skończony, już się z naszego raju nie ruszymy i zatoczymy obóz z którego nas żaden nieprzyjaciel nie wykurzy! Wzięliśmy szturmem do niewoli pannę majorównę, musimy się więc żenić. Tak to nosił wilk owce, poniosą teraz wilka i ty mój bratku, kochany pułkowniku, marsz na kobierzec ślubny.

To wyrzekłszy, zaczął ustami naśladować bęben i maszerować po pokoju, gdy we drzwiach ukazał się pan major.

— Gdzież to pan kapral tak żwawo maszeruje? zapytał Jacentego.

Ten stanąwszy wyprostował się, a salutując odrzekł z powagą.

— Zaciągamy z pułkownikiem i naszym sztandarem na zimową leżę a może i dłużéj do pana majora.

— A któż wam dał rozkaz na to? pytał z uśmiechem Zaremba.

— To proszę pana majora nasz jenerał dywizji.

— Gdzież on jest?

Kapral wtedy kłaniając się i całując w rękę majora, z uśmiechem z cicha szepnął:

— Panna majorówna!

Zaremba zrozumiał wszystko, ucałował w głowę pochylonego kaprala bo widział spełnione najżywsze serca swego życzenia i zacnéj małżonki. Ukrył głębokie wzruszenie i radość, zwrócił się do ogrodu, gdzie zastał razem chodzących córkę z pułkownikiem.

— Winszuję ci moja Zosiu, żeś tak nagle *awansowało*, cóż to za zaszczyt dla mnie a niespodziewany! mówił major z poważném obliczem.

— Nierozumiem co ojcuszek przez to rozumie.

— A przecież, mówił mi pan kapral Gil, że panna dostałaś nominację na jenerała dywizji i stosownie do wydanych przez nią rozkazów, pułkownik i kapral zostaną na zimowe leże.

Kończąc te słowa zaczął się śmiać serdecznie, a gdy Zosia oblana rumieńcem, spuściła oczęta w ziemię, major porwał pułkownika a ściskając go, zawołał ze łzami radości.

— Teraz już mój Stasiu nie rozdzielemy się z sobą do grobowéj deski!

Odtąd wielka radość panowała w kwaterze pułkownika, zarówno jak we dworze Zarembów; matka robiła przygotowania do wyprawy Zosi, a ślub oznaczony został w piérwszych dniach zapust. Major, który jak brata kochał przyszłego zięcia, nietylko że go zasilił pieniędzmi na sprawienie pojazdu i koni, ale sam pojechał na Podlasie do brata jego, hojnie go podparł zarówno jak i siostrę wdowę, i nic nie mówiąc, gdzie był i co zrobił, powrócił do domu.



Zosia.

Wtedy kupione *Zagaje* od lat dwóch, a leżące o małą milkę od Dąbrowy, przepisał na imię Ligenzy i zaczął urządzać dwór dla państwa młodych, oboje razem z żoną niemal codzień odwiedzali go, a zwozili meble i przybory gospodarcze, tak, że przed grubą jesienią, zanim odleciały od nas bociany, dwór w Zagaju był zupełnie gotów na przyjęcie swoich gości, a obfitość odznaczała zarówno spiżarnię, jak i piwnicę.

Dziesiątego stycznia 1820 r. odbył się ślub na który wśród licznego zebrania przyjaciół i krewnych przybył brat pułkownika Filip Ligenza z siostrą Heleną wdową.

Zjawienie się ich, było nieopisaną radością dla pułkownika. Ze łzami w oczach dziękował majorowi za tak miłą a drogą sercu jego niespodziankę.

Państwo młodzi w kilka dni po ślubie opuścili Dąbrowę i osiedli w swojem gnieździe w Zagaju wraz ze *starym kapralem* jak nazwano Jacentego, który liczył lat czterdzieści pięć wieku.

Spokój i szczęście domowe opromieniało odtąd życie młodych małżonków w Zagaju. Rodzice błogosławili tę myśl gdy zapragnęli zięcia w zacnym pułkowniku, a Zosia poparła ją najskuteczniéj. Co niedziela oboje zjeżdżali na cały dzień do rodziców, a gdy Zofja powiła syna, a we dwa lata córkę, te dnie w których słabą była, majorostwo osiadali w Zagaju. Stary kapral, jako marszałek dworu, zajmował się wygodą pana majora i ładem w całym dworze, bo pułkownik był wtedy jak Jacenty wyrażał *bez głowy*, siedząc przy ukochanéj małżonce.

W jedenaście lat późniéj zacny major zakończył życie na ręku ukochanego zięcia i przyjaciela, błogosławiąc mu za to szczęście jakie dał jego jedynaczce.

Żal pułkownika i jego żony był serdeczny, czas tylko i poddanie chrześcijańskie woli Boga mogły być balsamem na ukojenie ich cierpienia.

W chwili naszéj opowieści, żałobą okryty był dwór *w Zagaju*, jakkolwiek od zgonu ubóstwianéj małżonki, szósty rok dobiegał. Pułkownik co już przeszedł lat pięćdziesiąt wieku, zgryzotą zestarzał, bo ukochanéj Zofji swojéj zapomnieć nie mógł i dzień po dniu, grób jéj na cmentarzyku pobliskim przy kościele, który oboje dawniéj wznieśli odwiedzał, z modlitwą i łzami. Syn Władysław starszy liczył rok dwudziesty życia, młodsza Klara zaczynała ośmnastą wiosnę.

*Stary kapral*, był jakby członkiem téj rodziny, jakby najbliższym krewnym. Pułkownik ani chwili obejść się nie mógł bez niego. On przypominał zgasłą mu małżonkę, z nim w wolnych chwilach swobodniejszych rozmawiał o ubiegłéj przeszłości niepowrotnéj, o owéj ślicznéj Zosi swojéj, która kochała *starego kaprala*.

Jacenty był przy śmierci majora Zaremby, i w ostatniej chwili, gdy pożegnał żonę, córkę i zięcia, składając na ich pochylonych głowach swoje błogosławieństwo, sam z nim pozostał.

Gorączka się wzmagała, Jacenty podawał mu napój chłodzący, gdy nagle major, rozpłomieniony, jakby zebrał nowe siły, usiadł na łożu i zawołał grzmiącym jak dawniéj głosem.

Uwaga! dyrekcja w prawo! do ataku! dobosze w bębny! marsz naprzód! proch z panewek zdmuchnąć i na bagnety! Jacuś do mnie! do mnie stary kapralu!

Na te słowa, Jacenty się wyprostował, salutuje prawą ręką przy skroni, lewą trzyma jak

przy ładownicy, zdaje mu się, że jest na polu bitwy, słyszy taktowe uderzanie bębnów do ataku, krew w nim zakipiała. Kiedy nagle ochłonął ujrzawszy blednącego majora, który upadł na poduszki i wydawszy głębokie westchnienie, skonał.

Zanim Jacenty przyskoczył do łoża i pochwycił go za rękę, już była zimna jak lód, śmierć od razu zmroziła ciało wojownika.

Upadł tedy przy zwłokach, a szlochając jak dziecię, mówił przerywanym głosem.

— O mój drogi majorze przyszło ci nie na polu bitwy ale w łóżku jak baba umierać! A nieraz mówiłeś do mnie: Jacuś, ja nie zobaczę mojéj Kasi i Zosi, ale zginę jak żołnierz na polu nie w łóżku! Bóg inaczéj rozrządził, i ja cię przeżyłem!

Na pogrzebie jednak, przybrany w dawny swój mundur, zawiesiwszy krzyż na piersiach, szedł spokojnie za trumną z odkrytą głową; słowa nie wyrzekł, był blady jak chusta, modlić się nawet nie zdołał. Dopiéro buchnął płaczem g ł o ś n y m, gdy zwłoki spuszczano do g r o b u. Rzucił się na trumnę, objął rękoma, a całując czarne wieko, po chwili stanął spokojniejszy nad mogiłą, zawoławszy głośno:

— Żegnam cię panie majorze! I ja nie długo stawię się gdzie ty poszedłeś na apel!

Inaczéj Bóg mu przeznaczył, żył długo i musiał patrzeć na zgon ukochanéj swéj pułkownikowéj.

Gasła ona powoli, po urodzeniu Klary, któréj sama nie mogła karmić jak p i é r w o r o dnego syna, choroba piersiowa rozwijała się zwolna. Wszystkie starania przywiązanego męża i najbieglejszych lekarzy były daremne.

Kończąc czternastą rocznicę ślubu swego, uczuła się nagle słabszą. Przywołała męża i dzieci. Gdy ją otoczyli:

— A gdzież Jacuś, nasz stary przyjaciel? zapytała cichym głosem.

Usłyszał to jednak kapral stojący przy bocznym kredensie. Zbliżył się na palcach i ucałował zawsze białą, choć wychudzoną rękę.

— Czuję że umieram mój Stasiu, chcę ciebie mój drogi pożegnać i pobłogosławić dziatki moje. Pułkownik blady i drżący bez łzy w oku, ukląkł przy jéj nogach z dziećmi, które w głos zaszlochały. Stary kapral na którego spojrzała anielskiemi oczyma, stał wyprężony, patrząc jak w tęczę w jéj blednące coraz więcéj oblicze. Zaledwie ucałowała męża i przeżegnała dzieci, głowa jéj opadła na piersi i z cichym westchnieniem czysta dusza uleciała. Pułkownik zachwiał się i piérwszy raz w życiu zemglał; na ten widok Jacenty poskoczył, porwał go na ręce i zaniósł do sypialni, dopiéro gdy wrócił do przytomności, zmęczony bezsennością kilkudniową, na chwilę poszedł na spoczynek.

Po pogrzebie zmarłéj, padła ciężka żałoba na dwór w Zagaju. Zdawało się, że całe życie w nim zamarło, a to jeden tylko anioł, jak mówił pułkownik, a powtarzał ciągle stary kapral, uleciał z tego dworu.

Wdowiec zamknięty po całych dniach przez całą zimę nie przeszedł progu swéj sypialni. Syn i córka przychodzili rano na dzień dobry, razem jedli obiad z ojcem i razem pili herbatę, poczem ż e g n a l i go i wracali do siebie. Wtedy dopiéro zaczynała się służba starego kaprala, kiedy zmrok padać zaczął, wchodził ze stróżem folwarcznym, który niósł karpy smolne i sękowate z pni wykopanych z sosen, dębów, olszyny i brzeziny, dobrze przesuszone.



Pułkownik Ligenza.

Jacenty sam rozpalał suty ogień, a gdy płomień rozświecił dobrze sypialną komnatę, nakładał stambułkę tureckim tytuniem i na długiéj antypce podawał pułkownikowi.

W piérwszym miesiącu zrozpaczony wdowiec słowa nie przemówił, palił fajkę, wzdychał i często łzy ocierał,

Było w połowie lutego, mróz iskrzył bo dochodził do 24 stopni, gdy zadzwoniły sanki, i stary kapral z podziwieniem ujrzał, karecianie sanie pani majorowéj a matki zmarłéj Zofji.

Co prędzéj dał znać o tém pułkownikowi, bo Władysław i Klara stali już w sionce i witali ze łzami wzruszenia ukochaną babcię.

Pułkownik przywdział swój surdut i piérwszy raz wyszedł do bawialnego pokoju.

Sędziwa matrona podpierana przez wnuki, rzeźwo weszła, ale gdy ujrzała tak złamanego śmiercią żony zięcia, zbladła i zachwiała się nieco, ale wkrótce przezwyciężając własne cierpienie, wyciągnęła do niego rękę, którą on całując gorącemi łzami zrosił.

Łzy te były snać palące nieszczęśliwą wdowę, bo szybko cofnęła rękę, a siadając jakby zmęczona, w obszernym fotelu który jéj Kla-

ra podsunęła, rzekła drżącym od wzruszenia głosem:

— Panie Stanisławie! ja wdowa i ty wdowiec, ale mamy święte obowiązki od Boga! Patrz! te dwoje dzieci są sierotami, moje kochane wnuki.

I zaczęła klęczące u nóg swoich całować i błogosławić, dając teraz folgę łzom rzewnym.

Pułkownik w boleści swéj piérwszy się raz upamiętał, słowa poważnéj matrony i wyraz *obowiązku*, odbił się silnie w jego sercu, przystąpił więc do niéj, a ująwszy drżące jéj ręce całując je wyrzekł z cicha.

— Tak, droga matko! mam święte obowiązki i tak długo zapomniałem o nich, teraz tém gorliwiéj będę je pełnić, a mój anioł z niebios pewnie pobłogosławi i zażegna na szczęście swoje sierotki. Chodźcie tu moje dzieci! I przytulił je do piersi.

Stary kapral, który stał przy drzwiach sypialni, pochrząknął kilka razy, otarł prędko oczy i pokręcił siwe wąsy na które łzy jego spadły. Wtedy spostrzegła wiernego sługę.

— A cóż ja to widzę, nasz stary przyjaciel a nie przychodzi witać swojéj majorowéj, co dawniéj mówił że ją kocha serdecznie?

I podała mu rękę, ale Jacenty salutując prawą ręką do czoła, zrobił nagły w tył zwrot, i podwójnym krokiem wyszedł do kredensu, dla ukrycia swego wzruszenia. Niedługo przecież ukoiwszy się wrócił do salki, skłonił do kolan majorowéj a całując jéj ręce, cicho wyrzekł aby go nikt nie słyszał.

— Pani majorowa daruje, ale nie chciałem rozbeczeć się jak dziecko.

Zacna matrona, pocałowała w głowę pochylonego kaprala.

Z jéj przybyciem zaczęło powoli wracać życie w obumarłym dotąd dworze *Zagajskim*.

Po tygodniu pobytu, dawni przyjaciele domu i blizcy sąsiedzi na nowo odwiedzać poczęli pułkownika, który w ich towarzystwie, jakby się odrodził i dzień po dniu orzeźwiał się więcéj.

Długo zamknięty fortepian z polecenia babki otwarto i Klara zagrała na nim ulubioną pieśń swéj matki. Właśnie pisał pułkownik, a Jacenty czekał na list aby go wysłać w sąsiedztwo, gdy zabrzmiała ta wdzięczna i rzewna melodja; pułkownikowi wypadło pióro z ręki i oczy łzami zabiegły, stary kapral pochrząknął kilka razy, co znaczyło wielkie jego wzruszenie, a majorowa która umyślnie tak usiadła ażeby widzieć każde owdowiałego zięcia poruszenie, dostrzegłszy że płacze, z cicha do wnuczki wyrzekła.

— Graj moja Klarciu wszystko i powtarzaj co matka grała. Ojciec płacze, to znak dobry, rozpacz przejdzie w żal tylko, a łzy, które nasz poczciwy lud nazywa rosą serca, będą dla niego balsamem gojącym na jego rany.

Jakoż wkrótce pułkownik przyszedł do siebie, skończył list, doręczył Jacentemu i sam wyszedł do pokoju gdzie grała córka, już spokojniejszy choć smutny.

Na drugi tydzień, siedziała majorowa w swojéj sypialni, a przy drzwiach stał stary kapral.

— Jakże idzie gospodarstwo, mój panie Jacenty? zapytała.

— Gospodarstwo proszę wielmożnéj pani majorowéj idzie zawsze dobrze i jednakowo, jak w zegarku, bo tu u nas oddawna rygor wojskowy. Ale co we dworze, gdyby nie przybycie wielmożnéj pani, niedługo powymieralibyśmy wszyscy. Nikt tu głowy nie miał ani pan pułkownik, ani pan Władysław, tylko jedna panienka nasza, co z dobrocią anielską matki łączy dawną naszą energję.

— A Władzio?

— Panicz proszę pani majorowéj, dużo mi zawsze robił kłopotu! Co to miałem biédy zanim nauczyłem go jeździć konno, albo robić pałaszem, albo strzelać z pistoletu. Jeździ prawda dobrze, rąbie się nieźle, ale jak przyjdzie strzelać, to blednieje, ręka drży i musi długo odpoczywać zanim da ognia. Prawda że nigdy nie chybi celu, ale cóż z tego kiedy jakoś widzę proszę pani, że więcéj mężkiéj duszy ma nasza panienka.

Na te słowa, smutnie westchnęła babka, i zapadła w głęboką zadumę jakby wypatrywała smutną przyszłość dla sierot swojéj jedynaczki.

Jakoż zaprawdę dwa te charaktery jéj wnuków dziwną stanowiły sprzeczność. Władysław już młodzieniec dwudziestoletni, smukłéj jak matka jego postaci, całym obliczem i układem, spojrzeniem i ruchem przypominał zmarłą. Ale z podobieństwem zewnętrznem, przejął i jéj przymioty i charakter, które były ozdobą kobiéty a wadą mężczyzny. Tkliwy i rzewny, pełen zapału, skłonny do uniesienia nad wszystkiem co piękne i szlachetne przejął lękliwość i bojaźń niewieścią z rozdraźnieniem nerwowém. Żadna wybitna cecha męzka nie odznaczyła go w niczem, była to raczéj dziewica, przebrana za urodnego chłopca.

Młodsza siostra Klara, postacią jak charakterem i energją w niczem nieprzypominała brata. Wyniosłego wzrostu, czarnych płonących ogniem oczu, cery więcéj śniadéj, na któréj rumieńce zdrowia i młodości wybijały silnie, w całéj słowem postaci przy uderzającéj piękności była taka powaga, taka pewność wyrzeczonego a zawsze rozumnego słowa, że ktokolwiek zbliżył się do niéj oprócz uwielbienia, czuł cześć i głębokie uszanowanie.

Brat, w każdym wypadku zasięgał jéj zdania, szukał jéj pomocy i opieki, stary kapral nawet, jak brakło mu w czém *konceptu*, swojéj panienki prosił o radę a rada jaką udzieliła, była zawsze dobrą i rozumną.

Jacenty zwykle wtedy odchodził pomrukując sobie:

— Nasza panienka nie dla kształtu nosi główkę.

Śmierć ukochanéj matki, opiekunki i przyjaciołki zarazem, przed którą z całą miłością i szczerotą spowiadała się z każdéj myśli, z każdego uczucia, była ciosem strasznym dla Klary, ale boleść nieopisaną, którą przygnieciona, straciła pamięć i uczucie chwilowe, potrafiła ukryć; płakała rzewnie w swojéj komnatce, w gorącéj modlitwie szukając ulgi. Przed ojcem stawała blada i załzawiona, ale ze słowami pociechy; brata wspierała odwagę, do zniesienia niespodziewanego ciosu. Widząc po pogrzebie matki stan ojca, postanowiła ratować go w jego rozpaczy. Nic nie mówiąc nikomu, pojechała do babki i z nią tajną naradę odbyła, przedstawiwszy stan ojca grożący jego życiu, a pozostałym dzieciom nowe sieroctwo. W skutku téj rady, majorowa przybyła do *Zagaja*.

Trzy tygodnie przesiedziawszy z zięciem i wnukami, gdy wróciło nowe życie w ten dwór opustoszały, a pułkownik orzeźwiony, porzucił bezczynność i zabrał się po dawnemu do pracy i gospodarstwa, wróciła do swéj Dąbrowy.

Wiosna była wczesna, ciepła i pogodna. Siewy już w połowie rozpoczęły się Marca. Dwór w Zagaju zaczęli odwiedzać liczni goście, a między temi i grono zalotników, których wabiły wdzięki i posag dorastającéj pięknéj pułkownikównéj.

Ale ta, obojętnie przyjmowała ich zabiegi i starania o względy. Serce jéj nieuderzyło jeszcze silniéj, oddana gospodarstwu domowemu, pełniąc obowiązki w miejscu zmarłéj swéj matki, całą zwróciła troskliwość na uprzyjemnienie chwil sędziwemu ojcu, który coraz widoczniéj opadał na siłach.

(*d. c. n.*)

---

# LISTY Z PODRÓŻY.

## VI.

Londyn dnia 15 Czerwca.

Późnym już wieczorem dnia tak parnego, jakich my w Polsce w Maju nie mamy, wśród woni kwitnących przy drodze akacji i z rzadka migających błyskawic, co jeszcze cichuteńkie jawiły się na schmurzonym widnokręgu, jako oddalonéj burzy zapowiedź, dostawiła nas paryzka koléj żelazna, nad brzeg morza w Dieppe. Zanim je dojrzeliśmy, już doleciał uszu naszych ten szmer smętny jak westchnienie, a ponury jak groźba, który wydają rozbijające się o brzeg bałwany. Wspomniałam sobie jak mi raz wymownie piękność morza kreśliła Deotyma dodając, że przekłada widok jego, nad górskich okolic obrazy, ja wszakże zachwytów tych podzielić nie umiem; ta jednostajność nieskończoności smuci mnie bardziéj niż do uwielbień skłania; być może jest to skutkiem jakiegoś wpływu fizycznego na nerwy moje, lecz każdy skłonny do mdłości przyzna mi, że wtedy najbujniejsza wyobraźnia jak wystraszona figlarka, gdzieś się tak w kąciku naszego mózgu zaczai, że się od niéj ani doprosić, aby uchyliła opony, pod którą kryje całą fantasmagorją wrażeń i ten pryzmat czarowny, który w tak cudne stroi barwy wszystko, na co przezeń spojrzy oko człowiecze.

Angielski parowiec *Aleksandra*, który nas miał zabrać do Londynu, odchodził dopiéro około północy, wahałam się zatem czy popłynąć, czy jedną dobę w Dieppe pozostać, ale zapewniono nas, że burza bokiem przejdzie i że morze dość jest spokojne, więc nie chcąc przerywać podróży i skłaniając się do zdania towarzyszów, już godzinę naprzód udałam się na statek, gdzie położywszy się wcześnie przez ostrożność, zasnęłam wśród czterech tradycyjnie długich i chudych, lecz bardzo uprzejmych angielek. Sen ukoił moje niepokoje, kilka silniejszych wstrząśnień statku które sprawił wnet ucichły wicher, odurzyły mi tylko cokolwiek głowę, i uniknęłam szczęśliwie tych wcale niepoetycznych wzruszeń, które nazywają morską chorobą. Gdy zaś o wschodzie słońca wyszliśmy prawie wszyscy na pokład, mogliśmy już zawołać jak niegdyś wyprawa Kolumba: ziemia, ziemia! z tą różnicą że to nie był nieznany świat nowy, lecz bardzo znana, samolubna staruszka Anglja, wystrojona z całym przepychem opartego na przemyśle rolnictwa swego, wznosząca się dumnie nad wody, których berło ma pretensję dzierżyć, oszańcowana portami, pokryta siecią kolei, niby arterjami, przez które silnym prądem jéj życie handlowe przepływa. Przyjechawszy do Londynu dowiedzieliśmy się że tam właśnie ubiegłéj nocy, biły pioruny i wielka burza wylała potoki wód na miasto, które mimo to wyglądało jakieś nieumyte, a czarne i po świetnym i eleganckim Paryżu wydało mi się wcale niepowabném. Pięknéj architektury nie dopatrzysz chyba w publicznych gmachach, a i to dzisiaj tylko gotycka podobno anglikom się udaje, domy prywatne ponure i jednostajne zewnątrz, (wyjąwszy nie-

wielkiéj liczby nowszych budowli) każda rodzina ma osobne wejście, najczęściéj z ganeczkiem do którego się po kilku stopniach wchodzi, zkąd w domach gdzie niema sklepów, okna dolne przeplatane są drzwiami. W suterenach zwykle kuchnia i pokój służących, nad temi sala jadalna i gabinet pana, piérwsze piętro zajmuje salon, drugie i trzecie jeżeli jest, sypialne pokoje mieści. Jest to bardzo wygodne, bo jeden drugiemu nie przeszkadza, lecz ma pewną cechę samolubstwa; każdy u siebie tylko i dla siebie, cechę wszakże najniewinniejszą, bo cóż lepszego u nas gdy człowiek porządny musi często znosić cudze brudy i cudze śmiecie, które mu pod własny jego próg podmiatają.

Aby ocenić należycie anglika, trzeba mu się na jego własnéj ziemi przypatrzeć. Na stałym lądzie podróżując z całemi rodzinami, często bardzo śmieszne tworzą gromadki, których pochodzenie każdy pozna od razu. Papa najpospoliciéj blondyn rudawy, mama z czerwonemi wstążkami u kapelusza, dwie córki w czerwonych burnusach, na których złociste włosy rozpuszczone powiewają, synek najmłodszy w pończoszkach czerwonych, oto najniższa cyfra którą przedstawiają podróżnicy, bo często jeszcze znajduje się co najmniéj para wybiegłych w górę jak topole młodzieńców, w charakterze najstarszych nadziei i podpór rodziny. Otóż takie wyprawy dzieci Albionu, przypominające czerwonaków i flemingów, są rozkoszą szyderczego ludu francuzkiego; nie zliczyłby piosenek i słów któremi miota na swych sąsiadów puszczających to wszystko mimo siebie z poważną flegmą. Zważywszy jeszcze zarozumiałość francuzów, która im nie dozwala tego co dobre w drugich dopatrzyć, skłonność do żartów chwytającą przedewszystkiem stronę ujemną, uwierzyć łatwo, że bluzista paryzki słysząc tak ostrym odznaczający się przyśpiewem język angielski, mówi w najlepszéj wierze. „Oni się pewno sami nie rozumieją.“ Francuz bowiem, szczególniéj téż mniéj ukształcony, z góry potępia i lekce waży to, czego nie rozumie, lub czego sam niezrobił, w zupełném z nami przeciwieństwie, co pomimo nawet pewnego ukształcenia, pozostajemy zawsze w ślepém uwielbieniu dla wszystkiego co cudze. Wydawałoby się to smutnym jakiejś nieudolności dowodem, gdyby nie było po prostu owczym pędem, który z dawniejszych jeszcze czasów wziął impulsję.

Lecz wracając do anglików, wyznaję, żem nie raz we Francji uśmiechnęła się na ich widok. W Anglji wzbudzili we mnie szacunek. Spotkałam więcéj sumienności w stosunkach niż w Paryżu, zbudowała mnie powaga rodziny. Podczas gdy w Paryżu porządna kobieta musi się wszelkiemi ostrożnościami otoczyć, aby ją miano za taką, tutaj nawet młoda i przystojna, może się śmiało sama wszędzie pokazać, już bowiem dla saméj przyzwoitéj powierzchowności otaczają ją szacunkiem. Zarzucają anglikom zbytne do form przywiązanie, lecz nie można zaprzeczyć tym formom powagi, gdyż są właśnie wyrazem poszanowania, dla rzeczy tegoż godnych. Lud angielski bawi się nawet z większą godnością niż francuzki; nie mówię tu o warstwach najniższych, które zapewne wszędzie są do siebie podobne. Podczas gdy w Paryżu policja musi czuwać aby kawalerowie i *damy* na niektórych balach, zachowali cokolwiek przyzwoitości w tańcach i ubraniu, tutaj wszędzie pewne *decorum* panuje. Poszliśmy w liczném towarzystwie do jednego z takich ogrodów publicznych *Cremorn garden* gdzie w lecie tańczą pod gołem niebem rodziny rzemieślników i liczna klassa średnia ludności. Oświecony przepysznie gazem ma w pośrodku altanę dla orkiestry, w około któréj wieńcem bieży sala tańców, otoczona drzewami i balustradą, mająca drewnianą posadzkę, a za sufit powietrzne błękity. Miłość prawdy nie pozwala mi twierdzić, żem tam widziała zgrabnych tancerzy i tancerki, ale za to ubrania skromne, obejście przyzwoite nie tak, jak słyszę, w Paryżu na podobnych balach; oprócz tego jest tam sala teatralna, gdzie można nic nie dopłacając do pieniędzy danych przy wejściu (jeden szylling to jest według dzisiejszego kursu naszych pieniędzy 2 złp. 20 gr.) widzieć różne sztuki akrobatyczne, farsy, balet mimiczny lub coś podobnego. Daléj znów sztuki magiczne, lecz już za osobną dopłatą, długie galerje ze stolikami do jedzenia przekąsek, a ponad niemi widoki Szwajcarji z tyłu oświetlone, pokazują się w przezroczu w sposób bardzo dla oka zajmujący.

Lecz dostrzegam że opowiadając tak, jak się nasuwają wspomnienia, mówię o ogródkach nie wspomniawszy jeszcze o świątyniach. Dwie z nich na szczególną zasługują uwagę, katedra św. Pawła i św. Piotra czyli opactwo westminsterskie. Na piérwszéj z nich wznosi się kolosalny św. Paweł, a budowa jaką dziś widzimy, jest z XVII wieku, gdy kościół po pożarze przez sławnego architekta Wren przebudowany został. Znakomitéj wysokości kopuła, cała pokryta wewnątrz obrazami z życia św. apostoła, wznosi się w pośrodku gmachu na smukłych kolumnach koryntskiego porządku. W niéj jest słynna galerja *szeptów*, gdzie sto stóp naokoło słychać najciszéj wymówione wyrazy. Tego rodzaju osobliwość nie jeden posiada kościół, u siebie znajdziemy to samo nie daléj jak w Lublinie, w zakrystji katedry, a obejrzeć można z daleko mniejszym kosztem. Tu zaś u św. Pawła wszystko drogo otaksowane, wejście na kopułę półtora szylinga, do galeryi szeptów pół, całego szylinga za obejrzenie grobów, w których spoczął Wellington obok Nelsona, nawet wstęp do głównéj nawy bez opłaty niemożebny. Zważmy teraz czy ten sławny kościół odpowiada wyobrażeniu jakie sobie o nim tworzymy? Mimo imponującego ogromu, mimo wielkiéj piękności

szczegółów, wydaje się nam jakiś opustoszały a smutny i ani do wyobraźni ani do uczucia nie przemawia. Dla czego? bo uleciał zeń duch, który jego tworzeniu przewodniczył i pozostawił jakby grób otwarty, w którym osiadła religja powstała z buntu samowolnego człowieka, przeciw zaporom jakie jego namiętnościom kładziono. Zatem więc pomiędzy myślą, w której śmiałe zarysy świątyni się poczęły, a tą rozumującą, odrzucającą formy, lub raczéj wymagającą innych która dziś tu ma ołtarz, nietylko żaden nie istnieje związek, ale razi sprzeczność od razu w oczy bijąca. W téj sprzeczności utonęła cała piękność kościoła. Tu malowidła zatarte, bo przedmioty ich obojętne lub wstrętne dla dzisiejszych wyznawców, tam nisze puste po świętych, którzy z nich ustąpić musieli, skoro w tym przybytku przeminęła ich chwały godzina. Ołtarz wielki, ta zwykle perła we wspaniałych katolickich kościołach, tu musiał być skasowany, gdyż go obrządek anglikański nie znosi.

Kościół św. Pawła stoi na niewielkim placu w *City*, téj części miasta sławnéj gwarem nie uciech i zabaw, ale interesów przemysłowych i handlowego ruchu. Przez większą część dnia trudno się prawie przecisnąć wązkiemi ulicami pośród tłumów do nawału zatrudnień śpieszących. Kościół zewnątrz obejść można lecz nie z każdego punktu oko zdolne objąć jego ogrom. Dopiero cofnąwszy się w jaki kącik jak można najodleglejszy, można podziwiać całość wspaniałą budowli, której barwa, czarna z białą, właściwa także innym gmachom londyńskim, zrazu cudzoziemca w zadziwienie wprawia. To malowanie jednak jest dziełem dymu z węgla kamiennego, deszczów i wiatrów zmiennych. Według tego jak wicher pędzi wody deszczowe, jedna strona świątyni jest bardziéj umyta, gdy druga okopconą pozostaje i tak raz białe kolumny wznoszą się na czarnéj postawie, gdy z innéj strony zupełnie oczyszczona podstawa, zaczernione kolumny dźwiga. Słowem, każda pora roku nowe przynosi zmiany w żałobném tych dwóch kolorów połączeniu.

Kościół Westminsterski położony nad Tamizą w miejscu otwartém, mniéj podlega temu cieniowaniu dymów miejskich. Jego architektura gotycka nosi na sobie wieków barwę, sięgając bowiem siódmego czy ósmego wieku, za każdego panowania nową wzbogacił się pięknością. Wyznaję, że w świątyniach pańskich ta architektura najwymowniéj do mnie przemawia. W śmiałych łukach sklepień, w misterném rzeźbieniu wieżyczek przepływa bezustannie niby hymn czarowny co po wszystkie czasy wstrząsać będzie duszą ludzką, opiewając wielkość Stwórcy, a pokorę stworzenia i naiwną wiarę jego miłości gorącéj. Odbiera się tu wrażenie piękna i wielkości zarazem, cóż dziwnego że się niém nasycić trudno? wrażenia takie są duszy bogactwem, a czasem wśród nawału nikczemnych życia drobiazgów, długo musi czekać na nie spragniona...

Gmach dawnego opactwa, połączony z kościołem, obrócono na szkoły; po ogromnych płytach kamiennych poznać łatwo gdzie leżał dawny cmentarz, który starym obyczajem kościół otaczał, lecz już dawno na nim nie chowają zmarłych, a następujące po sobie pokolenia, bezustannie stąpając po ciosowych kamieniach do roli brukowca zeszłych, zacierają bez śladu grobowe napisy tych, co dawno prochem się stali. Wewnątrz, kościół Westminsterski wydaje się zbyt ciasny od nawału pomników. Jest to najwspanialsze muzeum Anglji, bo mieści w znacznéj liczbie wspomnienia jéj wielkości. Przywiódł nam kilka razy na pamięć krakowską świątynię na Wawelu, tylko że większy i bardziéj jeszcze napełniony. W części zwanéj zakątem poetów, odznacza się grobowy pomnik Szekspira, na którym posąg poety, naturalnéj wielkości, z niezmiernie szlachetnym wyrazem twarzy, marzącym i tęsknym. Pomnik Watta, tego tak odmiennego od dawniejszych, a jednak wielkiego zdobywcy, postawiono pomiędzy królami. Jest tam i p. Siddons sławna aktorka traiczna i Newton, ten większy matematyk niż człowiek. Nawa z prześliczną posadzką z kamiennéj mozaiki gdzie się zawsze koronują królowie i kaplice grobowe królów za osobną, lecz stosunkowo do innych małą, zwiedzają się opłatą (pół szylinga). Kaplice w liczbie siedmiu obfitują w starożytne grobowce. W kaplicy Edwarda Spowiednika pokazują dawne krzesło koronacyjne z kamienia kute. Kaplica Henryka VII owego Plantageneta. który nową zaczął dynastję panujących, architekturą swoją w zachwycenie wprawia. Ma to być według znawców najczystszy gotycyzm, ja wiem tylko żem się dosyć napatrzeć nie mogła na koronkowe rzeźbienia na sklepieniu, na kolumny śmiałe i lekkie, co wszystko jednocześnie prostotą, elegancją i bogactwem tchnęło. Grobowiec króla stoi w pośrodku, w zagłębieniach bocznych kilku ludzi znakomitych spoczęło. W tych grobowych kaplicach anglikanizm pozostawił wszystko nienaruszone, szanując odległych wieków wspomnienia. Dzisiejsi królowie angielscy bywają chowani w Windsor.

Naprzeciw kościoła Westminsterskiego, jeszcze bliżéj Tamizy na jéj lewym brzegu, ciągnie się długi gmach gotycki dwoma pięknemi zakończony wieżami; z daleka wydaje się jak świątynia. Jest to gmach parlamentu nowo postawiony na miejscu gdzie był zamek Westminsterski w którym odbywały się obrady izby Niższéj i Wyższéj, a który pożar r. 1834 zniszczył prawie ze szczętem. Z dawnych czasów pozostała olbrzymia sala, zwana Westminsterhall, którą z nowym budynkiem połączono. Kazano nam, skorośmy tam weszli podnieść głowy i podziwiać sztuczne wiązania z dębowego drzewa, które tym sklepieniom nadają barwę ponurą i imponują-

cą zarazem. Teraz jest to tylko sala poczekalna, któréj wspaniałość przy oświetleniu gazem, ma się okazywać w największéj wspaniałości; po bokach jéj, w mniejszych salach odbywają się zwykle sądy, lecz brzmi ona echem historycznych wspomnień. Tu niegdyś angielski parlament wyrzekł dekret śmierci na Karola I, ztąd także rozpędził tenże parlament Kromwell.

Wstąpiwszy na szerokie schody skręciliśmy na lewo i przeszedłszy piękną galerję, w któréj marmurowe posągi zasłużonych mężów jak Pitt, Fox, Walpole i t. p. Weszliśmy do ośmiokątnéj sali z kolorowemi oknami, pełnéj smaku i elegancji, zkąd na prawo przejście do Izby lordów, na lewo do Izby deputowanych. Uroczyste wrażenie nas przejęło; tu się więc ścierają opinje, które potężnym rządzą narodem, w téj świątyni wiara nie religijna lecz polityczna nie mniéj może dziś silna, potężne wymową słowa znakomitym mężom do ust kładzie. I właśnie, że to jest wiar politycznych przybytek, nietylko mnie nie raziła, ale owszem wydała się stosowną architektura gotycka budowli. Według innych jest to rażącym anachronizmem, żeby ludzie we frakach i cylindrowych kapeluszach wychodzili z pod gotyckich arkad, lecz łatwiéj wskrzesić gotycyzm w architekturze, niż przyłbice i misiurki w odzieży a w Parlamencie angielskim daje się widzieć anachronizm podwójny, bo nietylko fraki w gotyckich salach ale i peruki na głowach obu prezesów Izb i adwokatów wybranych przez Parlament do załatwienia spraw sądowych. Peruki pozostały jako jedna z cech niewzruszonych podstaw rządu, wkładają się jednak jak uważałam dość niedbale, gdyż z pod nich jak z pod czepka kobiécego naturalne wyglądają włosy. Te peruki wszakże mogą dziwić patrzącego, lecz nie są w stanie go rozśmieszyć, tak jest imponującą powaga, która go otacza. Przed wejściem do obu Izb są sale wstępne; tam można wywołać członków do których się ma interes. Tam także jest skrzynka pocztowa do listów. Zapowiedziano nam, że wkrótce przechodzić będzie prezes Izby deputowanych i uważać polecono, a wnet też rozległ się głos: „Panowie odkryjcie głowy!“ Zwolna z odkrytą także głową, w powłóczystym czarnym płaszczu którego ogon zanim niesiono wszedł prezes; przed nim herold w czarnym fraku i czarnych pończochach niósł berło, godności znamię, przed którą, nie przed człowiekiem który ją piastował, wszyscy uchylali czoła. Wrażenie powtarzam, było cześć nakazujące, z zupełną harmonią mu wtorowały poważne sklepień łuki i przyćmione światło w kolorowych szybach się łamiące. Dzięki uprzejmości deputowanego z Birmingham, zostaliśmy wprowadzeni do sali posiedzeń. Traktowano kwestję zupełnie domowego interesu, o jakiejś linji kolei żelaznéj, członkowie mówili z miejsc swoich powstając i odkrywając głowy, gdy zaś skutkiem różności zdań rozpoczęła się dyskusja, wezwano, jak to zwykle bywa, cudzoziemców aby wyszli, gdyż nikt obcy świadkiem tak nieznaczących nawet sporów być niepowinien.

Wróciwszy do sali wstępnéj, przypatrywaliśmy się członkom przechodzącym, których nazwiska wymieniali nam znajomi.

Nareście przeszliśmy do Izby lordów, którzy odbywają posiedzenia w sali tronowéj, gdzie zwykle królowa otwiera parlament, sala więc jest przepyszna Podczas kiedy deputowani narzekają że u nich jest za ciasno, tu obszar ogromny jaśniejący od szkarłatu i złoceń, świetnie odbijających od ciemnego, rzeźbionego drzewa, którym wyłożone ściany. Prezes siedzi na worze wełny, godle rolnictwa i przemysłu angielskiego. Pokazano nam gdzie siedzą ministrowie, biskupów łatwo z prawéj strony, po białych komżach, rozeznać można było i wyszliśmy wkrótce nie mogąc już zwiedzić wspaniałych apartamentów przeznaczonych dla dworu, skoro tenże w chwili otwarcia parlamentu tu się znajduje. Między dwoma pięknemi a odmiennemi wieżami gmachu, jedna nosi nazwę Zegarowéj, druga Wiktorji.

Ztamtąd idąc nieco w górę w głąb miasta, przechodzi się około pałacu Whitehall w którego wielkiéj sali Rubens malował sufit. Podobno 3000 funtów sterlingów, to jest coś tak jak sto pięćdziesiąt tysięcy złotych polskich raczył przyjąć za tę robotę artysta wielki pan. Lecz Whitehall z czego innego jest znane w historji. Z niego Karol I wyszedł na rusztowanie na placu z tyłu budynku wzniesione i połączone z jego oknami wyniesieniem z desek.

Idąc daléj, wychodzi się na plac zwany *Trafalgar square* na którym na wyniosłéj kolumnie stoi pomnik Nelsona. Anglicy z nadzwyczajną okazałością, a nawet ostentacją swym wielkim ludziom cześć oddają. Wellington, ten szczęśliwiec, co kolosalne laury zdobył małym trudem, dołożywszy w ostatniéj chwili rękę do poniżenia obalającéj się już wielkości, ma w Londynie pomników aż do zbytku. Zarówno też Nelsona życie i śmierć przypominają na każdym kroku rzeźby i obrazy. Jest tu ich kilka właśnie, w galerji zwanéj narodową, któréj dość niezgrabny budynek jeden bok Trafalgarskiego placu stanowi. Galerja ta niewielka, ma kilka cennych obrazów, szczególniéj Murilla, najznakomitsze wszakże utwory sztuki mają być w galerjach prywatnych, chętnie otwierających się dla publiczności. Naprzeciw, po drugiéj stronie placu, po przez nieustannie bijące na nim fontanny, widać pałac na którym wyobrażenie lwa z podniesioną dumnie głową i herby jakieś książęce umieszczone w kwadracie z czarną obwódką, poniżéj między oknami. Jest to pałac książąt Northumberland. Ztąd niegdyś uprowadzono do więzienia Joannę Grey, tę niewinną ofiarę politycznych ambicji, która obojętne sobie prawa do korony angielskiéj śmier-

cią na rusztowaniu okupić musiała. Herby zaś na tle czarném znaczą, śmierć głowy domu i te znaki żałoby mają zwyczaj czas jakiś wywieszać na zewnątrz rodziny możnych.

Na wschodnim krańcu City, nieopodal brzegów Tamizy, wznosi się owa sławna stara forteczka, najeżona wieżami, otoczona fossą, a pod imieniem wieży londyńskiéj znana. Zaczęta jeszcze w jedenastym wieku przez Wilhelma Zdobywcę, przez jego następców powiększana, stała się nareście więzieniem, ponuro występującém na kartach historji, bo nad niém zawisła krwawa łuna morderstw dokonanych w imię politycznych i religijnych namiętności.

Ach! jednak jest w wyobrażeniach i układzie społecznym postęp o którym wątpią niektórzy. Właśnie tu, w wieży londyńskiéj, gdy pokazują wśród podwórza miejsce, gdzie rusztowanie stawało, gdy się ogląda ten pień fatalny z wydrążeniem na głowę, z którego tyle szlachetnych, a niewinnych głów się ześliznęło pod katowskim mieczem, przypomina się, że w téj saméj Anglji, któréj historja podobnych zabójstw pełna, w któréj jeszcze przed sto laty, w 70 przeszło wypadkach śmiercią karano, dziś już tylko dwa są takie, które dla wystąpienia z najwyższą surowością swoją, zastrzegło sobie prawo. Zarówno badacze natury jak i poeci, szlachetne przeciw karze śmierci podnoszą dziś głosy i teraz świeżo gdy się we Francyi rozbierała kwestja nauczania przymusowego, wyrzeczono słowa, wielkiéj moralnéj doniosłości: „Na Boga! mnóżcie szkoły, pozbędziecie się przez to kata.“ Jak człowiek może sumiennie wypełniać obowiązki swoje, jeżeli nie jest dość oświecony aby je rozumiał?....

Objęta dziś domem przeznaczonym na mieszkanie gubernatora twierdzy, stoi wieża o któréj niesie podanie że była mieszkaniem Elżbiety więzionéj tam przez siostrę Marję. Nie mniéj przeto z jéj rozkazu zamknięto ofiar w tych murach, gdy z kolei ona znowu dostała się do władzy. Prost od rzeki idą pod górę dziś przegniłe już schody, pod murowaném sklepieniem U saméj ich góry otwierały się kratowane, żelazne drzwi zwane *bramą zdrajców*. Czółnami podwożono więźniów, którzy temi fatalnemi schodami w obwód murów się dostawali; następnie przechodzili pod bramą „*zakrwawioną*“ dla tego tak nazwaną że po nad nią miał być pokój w którym zamordowano dzieci Edwarda z rozkazu ich stryja ks. Glocester. Bramę tę zamykała krata podnosząca się w górę i najeżona kolcami, którą za przechodzącemi spuszczano. Niestety! mało który z nich widział żeby ją dla wypuszczenia go podniesiono. Teraz zaś zdaje mi się, że już tylko jako bezużyteczny zabytek pozostaje w górę wzniesiona, fortecę bowiem zamykają bramy murów zewnętrznych, w których straż postawiono, nie dla więźni których tu niéma, lecz dla arsenału i klejnotów korony oszacowanych na dwa miliony funtów sterlingów i oglądanych przez żelazną kratę za osobną opłatą. Są tam korony, są berła, wszystko djamentami, perłami, kosztownemi kamieniami sadzone. W nowym zaś arsenale, stary bowiem spłonął w roku 1841, ma się znajdować przeszło 70 tysięcy ręcznéj broni. Cała zbrojownia pamiątkowa znajduje się w wieży „Białéj“ i z zajęciem oglądać ją przychodzi. Kompletne zbroje włożone na mannekinów, tak żeby wyobrażały królów lub rycerzy, do których należały, poczynają się już od XIII wieku. Nad każdym takim rycerzem w stal zarówno jak koń jego zakutym, powiewa jego herbowna chorągiew. Henryka VIII jest kilka zbroi przepysznych. Karol I przedstawiony także na koniu. Zakonnemi rycerzami stoją piesi zarówno zbrojni, słowem w kilku salach całego zbioru nie zliczyłby mistrzowsko wyrabianych tarczy, hełmów, lanc, aż do kasku błazna Henryka VIII przy którym są rogi baranie i szczególniejszych zbroi na konie, jak np. ta która ze skóry stwardniałéj przez gotowanie zrobiona. Dwie armaty są bardzo ciekawe: jedna miała należeć do kawalerów Maltańskich, druga także bronzowa z rzeźbionemi jakichś wykrzywionych straszydeł postaciami, należała niegdyś do rozbitego w 1782 roku wojennego okrętu. Dziwnym trafem czy téż z umysłu, umieszczono postać Elżbiety na koniu w purpurze i z koroną, obok ciemnego pokoju w którym 13 lat więziennego życia przetrwał Raleigh, ten śmiały z czasów jéj panowania żeglarz. Nie opodal także leży topór, który ściął głowę jej ulubieńca hr. d' Essex. Panowanie Elżbiety jest jakby podwaliną wielkości Anglji, trudno więc nie wspomnieć tej monarchini, w której wysokie przymioty, stały obok najnędzniejszych drobnostek kobiecego charakteru. A jak ona zręcznie umiała po za te kobiece słabostki swoje postępowanie ukrywać! Patrząc dziś na tę twarz wylakierowaną (zapewne *z papier maché*) której rysy jednak z portretów wzięto, odtwarza się w myśli cała postać, jaką była gdy żyła i działała. Z uśmiechem przypomniałam sobie narzekania posła francuzkiego, od króla Henryka IV który stanowczej odpowiedzi doczekać się niemógł, bo właśnie królowa dać mu jéj nie chciała, zabawiała go więc płochemi rozmowami o strojach i zabawach, a „gorsowała się do samego pasa“ powiada francuz, którego już niecierpliwiło to przymusowe podziwianie podstarzałych wdzięków. Być może jednak że nie przesadzał w zniecierpliwieniu swojém, gdyż wiadomo że królowa lubiła stroje dziwaczne i miała pretensje do piękności, a na portretach widzimy, że chociaż staniki jej sukien zachodziły na ramiona to jednak na piersiach roztwarte były rzeczywiście do pasa, daleko wprawdzie wyżej, niż dziś u nas podchodzącego. Całe jej postępowanie z Marją Stuart dowodzi, że mogła mieć mądrość monarchini, ale nigdy tej tkliwości, która jest wdziękiem kobiety, ztąd też Marja mimo swych błędów, zo-

stała popularną postacią, otoczoną współczuciem następujących po sobie pokoleń.

W sali Elżbiety przechowują także narzędzia tortur, zabrane podobno na hiszpańskim okręcie; kaplicy śgo Piotra, gdzie złożone ciała osób ściętych w wieży londyńskiej, nie pokazano nam mówiąc, że nie dozwolone jest teraz. Tam spoczywają: Anna Boleyn i Katarzyna Howard dwie żony Henryka, Tomasz Cromwell jego ulubieniec a potem ofiara. Hrabina Salisbury ostatni potomek Plantagenetów, biskup z Rochester, Joanna Grey i mąż jej lord Dudley, hrabia Essex i bardzo wielu innych. Kaplica śgo Jana, którą teraz przerabiają, a w której zwykle będąc w Tower (w wieży londyńskiej) modlili się królowie angielscy, jest w wieży zwanej „Białą" jednej z najstarszych pośród tych różnorodnych budynków, wśród których zrazu rozpoznać się trudno. Mury tej wieży opatrzonej strzelnicami, podobno do 14 stóp grubości dochodzą. Poniżej kaplicy są celki więzienne zapełnione napisami tych, którzy je niegdyś zamieszkiwali. Potem pokazują wąskie schodki kamienne, któremi więzień wychodził po raz ostatni.... na rusztowanie....

Lecz odwróćmy oczy od tych szczegółów smutnej pamięci i przypatrzmy się czerwonym mundurom i wcale pokaźnym minom garnizonu, który tu dość liczny, nowo zbudowane koszary zamieszkuje. Już też i czas w dalszą puścić się drogę, więc po ciasnych ulicach wśród zapachu słodu i dymów fabrycznych, cisnąc się pomiędzy ludźmi i końmi, cisnącemi się także każdy w swoją stronę, doszliśmy do głównych londyńskich doków śtej Katarzyny.

---

# F I J O Ł E K.

„Skromnéj barwy i woni,
„Kwitł fijołek na błoni,
„Fijołek maleńki"
A widząc dokoła
Wyższe kwiaty i zioła,
Ich wzrost barwy i wdzięki,
Trwożył się i w milczeniu
Krył się w liściach i cieniu.
Ach fijołku, fijołku,
Jaki ty dziecinny!
Jak każdemu stworzeniu
Tak i każdemu ziółku
Pan Bóg zakreślił cel inny,
Insze swe dary dał w podział,
W inne je kształty przyodział,
Lecz w tych darach nie kształtach każ-
[dego z nich cała
Jest wartość, wdzięk i chwała,
I chociaż różę kwiatów królową
Lilję kwiatów kapłanką zową,
Któż kiedy z ludzi nie uczcił fijołka,
Kwiatów aniołka.
Bo i w kwiecie
Jak na świecie,
Gdzie tylko będzie zasługa prawdziwa,
Świat ją odkrywa,
A kto o sobie sam trzyma najskromniéj
O tym najlepiéj Bóg pomni.

*A. E. Odyniec.*

---

# Wiadomości Literackie.

(Najnowsze dzieła filozoficzne i naukowe we Francji).

*Le scepticisme: Œnésideme, Pascal, Kant études par E. Saisset 1865. Paris 1 vol 7 fr.*

Autor obznajmia nas w tej książce z pojęciami najznakomitszych filozofów sceptyków w starożytności, jako też w 17ym i w 19ym stuleciu.

W całym układzie dzieła przebijają wzniosłe zasady i dążności spirytualistyczne pisarza. W rozbieraniu ważnych pytań oderwanych (abstrakcyjnych) niedorównany wdzięk stylu i wysłowienia ułatwia czytelnikowi pojęcie takowych. Wnioski, do jakich p. Saisset dochodzi, są najszczytniejszém wyrażeniem zasad, rzeczywiście pożytecznych dla udoskonalenia moralnego. Prawdziwa wolność spoczywa w cnocie, której Istota Najwyższa jest typem najdoskonalszym. Dla człowieka świątobliwego, świętość jest ozdobą przechodnią, dla Boga jest ona wiekuistą, bo wchodzi w skład właściwej Istoty Stwórcy. Człowiek wznosi się mozolnie, pośród ciągłych trudów i walki do ideału świętości, tym ideałem jest sam Bóg. Od człowieka do Boga istota wolności, okazuje się niezmienioną, lecz tylko oczyszczoną. Czynność, wola, rozum, jedném słowem to wszystko co w wolności ludzkiej jest rzeczywistego,

stanowczego, odnajdujemy w wolności bożéj, z tą różnicą tylko, że zniknęły w niéj wypadki, niedole, przemiany, usiłowania, namysły, wybory i typ wolności bożej ukazuje się zdumionym oczom duszy w całej pełni i czystości doskonałej.

*La philosophie de Saint Augustin par Nourrison, ouvrage couronné par l'Institut de France. Paris 1865, Didier et Cie: 2 vol. in-8. Cena 14 franków.*

Święty Augustyn zanim został uczonym teologiem, zajmował się długo filozofją. Dzieła tego doktora kościoła świadczą o tém wybitnie. Fénélon stawia rzeczonego świętego, jako filozofa, wyżej od Descarta. P. Nourrison nie podziela owego podziwu, nie mniej przeto wysoko ceni dzieła znakomitego Ojca kościoła poświęcając im szczegółowe studjum. Autor przedstawia nam Świętego szukającego w filozofji rozwiązania tych zagadnień, których póżniéj rozjaśnienie znalazł w nauce chrześcijańskiéj. Okoliczności ówczesnéj epoki popychały wszelkie żądne prawdy umysły do pracy podobnego rodzaju. Wśród zepsucia świata rzymskiego, umysłom wyższym, nierozjaśnionym przez chrystjanizm, zasady poganizmu nie mogły wystarczać, filozofja więc przedstawiła im się jako jedyna droga dążąca do rozwiązania trudnych, nierozjaśnionych zagadnień życia. W młodości swojej święty Augustyn zachęcony czytaniem *Hortensjusza* Cycerona, oddał się badaniom rozmaitych systematów filozoficznych, do żadnego z takowych wyłącznie się nie przywiązując. Była to doskonała praca przygotowawcza dla przyszłych zapasów teologicznych. Znajomość dokładna dowodzeń metafizycznych utorowała drogę Świętemu do skuteczniejszego odpierania późniéj zarzutów stawianych przez przeciwników chrześcijaństwa. Filozofja świętego Augustyna jest w zupełności polemiczną. Odbija ona myśl niespokojną i ruchliwą autora, którą dopiero uspokoiło nawrócenie, przyjęcie dogmatu z wiarą w takowy najmocniejszą i wówczas cały zapas dowodzeń filozoficznych obrócił na pokonanie niewierzących jeszcze przeciwników. Wiadomo powszechnie, że biskup Hippony był jednym z najświetniejszych obrońców kościoła, że więcej niż ktokolwiek ze spółczesnych mu, przyczynił się do tryumfu nauki Chrystusa. W dziełach filozoficznych świętego, przebija się walka dwóch odrębnych cywilizacji, które wówczas dobijały się o berło świata. Najprzód niewolnik zmysłów, pozbawiony wszelkiej wiedzy o duchowości, o odpowiedzialności, o opatrzności, gruby poganin, potem Manichejczyk, następnie panteista, oniemal zwolennik Epikura, uczeń nowéj akademji, święty Augustyn staje się potem stronnikiem Platona, a w końcu chrześcijaninem, kapłanem nowéj wiary i biskupem. Filozofja świętego Augustyna jest ciekawém odbiciem niepewności i chwiejności, którym rzucone były na pastwę umysły owego czasu. Dzieło p. Nourrisona przedstawia pełen zajęcia rozbiór téj filozofji. Przez wykład jasny, metodyczny, styl poważny, zasłużył autor wzmiankowanéj pracy, na chlubną nagrodę, udzieloną mu przez Instytut francuzki.

*St. Ch.*

# WSPOMNIENIE DWULETNIEGO POBYTU W JAWIE.

(Wyjątek z dziennika podróży odbytéj w ostatnich czasach).



Przybycie do zatoki Batawia. — Wylądowanie. — Wielki kanał. — Komora.— Powozy do najęcia.— Stare miasto. — Widok nowego miasta.— Hotel I n d y j s k i.— Piérwszy nocleg na lądzie.

Wyruszywszy z Nantes w piękny dzień styczniowy na statku *Mikołaj*, po trzechmiesięcznéj żegludze ujrzałem na widnokręgu jakąś bladą i mglistą linję, którą ludzie okrętowi nazwali przylądkiem Jawy (Jawa's head). Wiatr pchał nas silnie ku wybrzeżu, wkrótce nawet rozróżnić już można było piękne jego widoki. Uderzył mię najwięcéj pomiędzy innemi, obraz ujścia rzeki ściśniętéj z obu stron ścianami skał o wierzchołkach barwy gorąco-żółtéj lub popielatawéj, niepodobnéj do odmalowania. Woda wrzała, kipiała i w srebrnych snopach rozbijała się o czarne kamienie. Bujna zwrotnikowa wegetacja pokrywała te samorodne mury, które zaledwie utrzymać mogły burzliwy strumień w jego łożysku. Widok ten wzbudził we mnie zachwyt najwyższy i zarazem smutne zwątpienie, zrozumiałem bowiem że ani piórem ani pędzlem nie zdołam oddać wra-

żeń w obec téj dziwnéj, nowéj i wspaniałéj przyrody. Burza odepchnęła nas od brzegu, nastąpiła po niéj cisza morska, dla któréj we trzy dni zaledwie wpłynąć mogliśmy do cieśniny Sondu. Otoczyło nas zaraz mnóstwo przedmiotów zwiastujących bliskości ziemi. Mięczaki podobne kolorem do hubki, lub błękitnawe jak bańki mydlane, pływały do koła, daléj przesuwały się pnie bananów, kora pamplemussów i ładne popielate ptaszki, zaczepione na prętach trzciny. Widać było w dali wyspę książęcą, wybrzeże Sumatra i wulkaniczną wyspę Krokatoa, któréj szczyt w formie głowy cukru pokryty białawym obłokiem, wyobrażał dymiący krater wulkanu. Wyspy wulkaniczne powstające jak wiadomo nagle z głębin morskich, czarowny przedstawiają widok. Każdy kawałeczek ziemi pokryty tam najpiękniejszą roślinnością, nie mają ani skał nagich ani nawet piaszczystych wybrzeży. Drzewa kokosowe, bananowe i bambusowe, pochylają się tuż ponad morzem które odwilża ich korzenie. Nazajutrz dzień wszystkie te widoki jeszcze większe na mnie uczyniły wrażenie przy wschodzie słońca. Nic wtedy nie jest w stanie wyrównać piękności czarownéj cieśniny Sondu. Oblane światłem nieznaném w naszych klimatach, ziemia i morze przybiera jakąś barwę piękną i przejrzystą, właściwą zapewne innym wyższym od naszego światom, na opisanie których niema słów w języku ludzkim. Kilka statków malajskich wypłynęło z brzegów do sąsiednich naszemu okrętów. Wszystkie dalekowidze skierowały się na te centki niedojrzane prawie zdala. Wkrótce można je było rozróżnić lepiéj, zdawały się pozłacane, a ludzie na nich ceglanego koloru w dziwnych jakichś ubiorach na głowie.

Łódz kierowana przez jednego człowieka który siedząc w tyle podnosił nad głową i spuszczał w wodę podwójne wiosło, zbliżyła się do nas. Wprędce otoczeni byliśmy przez inne łodzie płynące ku nam z zadziwiającą szybkością, jakby na wyścigi. Mogliśmy już rozróżnić oblicza krajowców, podziwiać piękną i silną budowę tych ciał muskularnych, rozmaitość ubiorów jaskrawych a jednak harmonijnych, którym lazur nieba nadawał olśniewające blaski. Wdzięczne i udatne kształty czółen okazywały zmyślność i dobry smak wyspiarzy; niektóre były zręcznie wydłubane z pni drzew, inne zbite z kilku tratew spojonych za pomocą nieznanego włókna. *Mikołaj* płynął pomiędzy ruchomym ogrodem, albowiem wszystkie te łodzie były napełnione jarzynami, owocami i kwiatami które tylko w palącéj strefie równika dojrzewają w pełni i rozwijają się w całéj swéj okazałości. Znajdowały się tam piramidy z orzechów kokosowych, bananów i ananasów, stosy pomarańcz i cytryn, w przezroczystych koszach plecionych z jednego liścia palmowego; rzędy kur i kaczek powiązanych za nogi, skrzynie pełne jaj różowych, prawie okrągłych, wielkie klatki w których przeróżne ptaki, małpy szare i czarne, papugi fioletowe, pąsowe i zielone, z czubem białym a kitką żółtą, rozweselały oko rozmaitością barw i kształtów. Skoro przybiliśmy do brzegu mnóstwo dziwacznych postaci powskakiwało na pomost i otoczyło nas ze wszystkich stron. Ludzie ci mieli brunatną cerę z brązowym połyskiem, ubiór ich okrywający tylko połowę ciała składał się z różnorodnych kawałków materji. Rozpoczął się handel. Wszyscy chcieli coś sprzedać, kupić lub wymienić jaki krajowy produkt. Jedni krzyczeli głośno nie mogąc się porozumiéć, drudzy pokazywali pieniądze lub przedmiot który je zastępował. Kapitan kupił trzysta ananasów za dziesięć franków, porucznik ośm orzechów kokosowych w zamian za starą koszulę, kiedy pewien krajowiec przywłaszczył sobie skrycie niektóre moje rzeczy. Dzika powierzchowność wyspiarzy, kocie ich poruszenia, błyski strzelające z oczów czarnych jak węgiel, ruchliwość fizognomji, mowa dla nas niezrozumiała, wzbudzały we mnie rodzaj ciekawości połączonéj z obawą. Czułem się samotnym i jakby opuszczonym znajdując się w tym tajemniczym kraju, na krańcach cywilizowanego świata. Nic tam nie było europejskiego, nic coby mi przypominało moją rodzinną ziemię! Spokojna siła praw i zwyczajów społecznych, nie znajduje zastosowania gdzie niepohamowane instynkta natury, podstępy zwierzęce, zazdrość, nienawiść i zemsta obrały sobie siedlisko. Gdybym uczynił kilka kroków tylko w okolicy, mógłbym może nastąpić na nóż krwią zbroczony używany do skalpowania, albo poczuć ciepły jeszcze odór ciał ludzkich!.... Łodzie zaczęły nas po trochu opuszczać. Powierzchnia morza była gładka jak zwierciadło, tylko lekki wiatr wydymał żagle w kierunku lądu. Płynęliśmy zwolna koło latarni morskiéj, komory i symetrycznie zbudowanych mieszkań majtków malajskich. Nieco daléj domki szczególnego kształtu z drzew bambusowych kryjące się przed palącym żarem słońca i sieci gęsto rozwieszone przy brzegach, oznajmiały zatrudnienia rybaków. Nowe widoki odkryły się oczom naszym, wpłynęliśmy w zatokę ścieśnioną wdzięcznie zaokrąglonym przylądkiem, którego skaliste i mchem porosłe ściany, iskrzyły się metalicznie oblane potokami światła, kiedy z przeciwnego brzegu olbrzymie drzew konary połączone wijącemi roślinami, zwieszały się w malowniczym nieporządku, tworząc naturalne sklepienia odbijające się na ciemnéj fal powierzchni. Ach! gdyby można było tam wylądować i w zbudowanym własnemi rękami domku żyć samotnie jak Robinson w obec wspaniałéj przyrody i tych zachwycających widoków. Szalona myśl! kapitan powiedział z uśmiechem, że febra, jadowite owady i drapieżne zwierzęta, wypędziłyby mnie ztamtąd w ciągu jednego miesiąca.

Okrążyliśmy zatokę Bantam przy któréj

brzegach wznosiło się niegdyś potężne i bogate miasto, a dziś zaledwie kilka nędznych lepianek pozostało rozrzuconych jakby ruiny wśród dzikiéj roślinności angielskiego ogrodu. Między innemi ciekawemi przedmiotami pokazano mi drzewo podobne kształtem do masztu. Był to rodzaj krzewu bawełny nazwanego przez krajowców *Kapook* z którego włókien wyrabiają w Indjach materace i poduszki.

Nakoniec ukazał się nam las masztów w zatoce Batawia i zarzuciliśmy kotwicę po trzech miesięcznéj żegludze na przestrzeni sześciu tysięcy mil; dla spóźnionéj pory wylądowanie odłożono do następnego rana.

Gdy dnieć poczęło, *Mikołaj* został otoczony łodziami malajczyków; każdy sternik wyliczał wrzaskliwie zalety swego statku narzucając gwałtem usługę; inni krajowcy sprzedawali jak w cieśninie Sondu owoce, papugi i małpy; niektórzy zręczniejsi jeszcze od tych czworonogów, wdrapywali się na okręt i za pomocą wyrazistéj mimiki, usiłowali zwrócić naszą uwagę. Hałas powiększał się coraz bardziéj z liczbą ciągle przybywających nowych statków. Około siódméj godziny rano, otoczeni byliśmy przez dziesięć razy większą ilość czółen do wyładowania naszego okrętu i omal nie zdobyci szturmem przez krajowców. Byłbym zachwycony widokiem tego tłumu ludzi, których ubiory mieniły się i połyskiwały w złotym blasku zwrotnikowego poranku, gdyby mnie nie rozczarowało przybycie trzech francuzów z Batawji. Trupia bladość oblicza i chorobliwa ich cera oznajmiały jasno, zgubne dla europejczyków wpływy klimateryczne wyspy Jawy. Widok ten ostudził znacznie mój zapał. Gdy zwykły nieporządek wylądowania uciszył się nieco, wybrałem jeden z otaczających nas statków i na raz uczułem się porwany przez pięciu silnych wioślarzy, którzy zręcznie kierowali łodzią ku przystani. Przepłynąwszy zatokę i długi kanał ścieśniony groblami zachodzącemi w morze przybiliśmy do lądu. Zadziwiła mnie czynność krajowców mimo palącego żaru promieni słonecznych. Myślałem mimowolnie coby się stało z przybyszami europejskiemi gdyby znaleźli się bezsilni wśród tego steku rozmaitych narodowości bez moralnego wędzidła, gdy pstrokaty tłum złożony z chińczyków, arabów, indjan, mrowiących się ze wszystkich stron wyrwał mnie ze smutnych marzeń. Kulisy, ubrani jednostajnie w suknie koloru niebieskiego, mając głowy okryte ogromnemi kapeluszami, pracowali około naprawy nadbrzeżnych murów uszkodzonych przepływem morza Tu chińczycy z cytrynową twarzą, w kaftanie i spodniach białych, wydobywali z trudnością ze swoich łodzi błyszczące skrzynie porcelany i herbaty, owdzie arabowie udrapowani w suknie fioletowego koloru w pasy złote i burnusy białe, zachowując w obec ogólnego ruchu zwykłą flegmę i obojętność, zapisywali na tabliczkach paki różnych towarów bez ustanku składane na wybrzeżu. Daléj gromady istot ludzkich, których ponury śpiew jęczał głuchą i jednostajną skargą, użyte były do wbijania w ruchomą ziemię ogromnych pali, a wtorujący im świst rzemieni dozorców, raził mnie boleśnie wykazując powód gorączkowéj ich czynności. Jak daleko oko mogło zasięgnąć wszędzie widziałeś ruch i pracę. Mrowisko, poruszane kijem barbarzyńskiego dziecka, może dać wyobrażenie o téj zgrai ciemiężonéj koniecznością i razami dozorców. Chcąc się rozerwać, zwróciłem uwagę na rozmaitość statków znajdujących się w przystani; były tam łodzie chińskie pomalowane w pasy czerwone i czarne, odbijające żywo od szarego tła spodu, ozdobione na przodzie dwoma zezowatemi oczami i chorągiewką z materji różowéj lub błękitnéj, małe okręty arabskie wyrzezane i pozłocone, czółna wydrążone z jednego pnia drzewa; rybackie łodzie malajczyków zbite z tarcic bambusowych i nakoniec kilka okrętów francuzkich i holenderskich, których czarne i ponure linie rysując się na widnokręgu, tworzyły zupełny kontrast z tą świetną flotyllą dalekiego wschodu. Byłem bardzo szczęśliwy czując pod memi stopami zamiast kołyszącego się pokładu stały ląd, lecz upał nieznośny zmusił mnie szukać schronienią na dziedzińcu komory, znajdującéj się opodal w niskim pawilonie mającym przez szerokie schody wyjście na morze. Nie było mi tam dogodniéj, ponieważ zrzucono moje rzeczy pod gołém niebem i kazano czekać. Dumni indjanie przejęci ważnością sprawowanych obowiązków, przechodzili poważnie dziedziniec na którym w skwarze padających prostopadle na moją głowę promieni słonecznych czekałem niecierpliwie rewizji. Uderzył mnie świetny ubiór otaczających urzędników, składający się z szafirowego sukiennego kaftana, szerokich białych spodni w rzuty różowe, niebieskie, lub lila, na które z boku spadający pas wyglądał jakby fartuch krzywo włożony. Małe ciemniejszéj barwy arabeski rysowały się na jaskrawém tle czerwonych, żółtych i zielonych pasów, a niewielkie tego samego koloru turbany dopełniały malowniczości stroju. Niektórzy indjanie mieli na nogach eleganckie sandały, inni zaś byli zupełnie boso. Czas upływał; byłem dosłownie upieczony na słońcu, a nikt z obecnych mimo ofiarowanéj nagrody, nie chciał ułatwić mi dopełnienia formalności. Zniecierpliwiony otworzyłem tłomoki i począłem z krzykiem nalegać aby mnie zaraz załatwiono, gdy przybyły nareszcie urzędnik oznajmił, że administracja komory któréj miał zaszczyt być członkiem zwalniała mnie od rewizji. Dla czegóż mi tego od razu nie powiedziano?

Nie znajdowałem żadnego sposobu dostania się do Weltewreden, najbliższego miasta europejskiego, ponieważ pieszo było za daleko, wózka nie mogłem nigdzie nająć, a jednak na-

leżało znaleść mieszkanie w hotelu przed nastaniem południowéj pory. Cóż miałem czynić?... Usłyszawszy turkot powozu rzuciłem się w stronę którą nadjeżdżał. O rozczarowanie! zajęty już był przez pewnego kupca podróżującego po wyspie za swemi interesami. Szczęściem że zrozumiał moje żądanie i obiecał przysłać pierwszy powóz jaki napotka. Nakoniec po półgodzinném blisko oczekiwaniu nadjechała brudna i chwiejąca się na kołach karjolka ciągniona parą niewielkich koników, których duże łby i wypukłe żebra tłukły się o siebie jak woły zaprzężone do jednego jarzma. Woźnica podobny do małpy, ubrany wbawełnianą czerwoną koszulę, brudną i podartą z bosemi nogami, na głowie miał blaszany bez koloru ani formy kapelusz, ozdobiony pierzastą kitą, z któréj dumniejszy był od jenerała pyszniącego się swemi szlifami. Tylko bat jego wskazywał pewną wykwintność; był to długi rzemień, czarno i czerwono pomalowany, którego drewniana osada odznaczała się prawdziwie pięknie wyrobioną pozłacaną rzeźbą. Wsiadając do tego szczególnego ekwipażu zapytałem woźnicy o cenę kursu. Wskazał mi mały kawałek papieru przylepiony na koźle karjolki, gdzie oznaczona cena czterech rupji czyli siedm franków za pół dnia wydawała mi się zdzierstwem. Nowy kłopot! Woźnica nie chciał zabrać moich tłomoków wskazując na grupę opodal rozciągniętych w cieniu kulisów, ale łotry pogrążeni w słodkiém far-niente, głuchemi byli na moje ofiary, dopóki nie zobaczyli wymaganéj od nich kwoty pieniędzy. Ruszyłem w końcu — powóz trzęsł nielitościwie lecz okolica była tak piękną, że nudna ta podróż wydała mi się bardzo przyjemną. Wszędzie trawniki szmaragdowe i olbrzymie drzewa niewidziane w Europie, przedstawiały się oczom moim. Przebywszy duży most, wjechaliśmy w altanę sadzoną drzewami, w końcu któréj dostrzegłem białą bramę pomalowaną w czarne wzory. Doznałem niemiłego wrażenia, sądząc że się zbliżamy do bram cmentarza założonego dla europejczyków, lecz wjechawszy do wnętrza, przekonałem się że to było właśnie główne wejście do miasta. Miasto to jest głównym kantorem handlowym holendrów, są w niém składy płodów z całego kraju, domy handlowe, biόra administracyjne i kantory kupców. Mieszkanie tych ostatnich znajdują się w nowém mieście, gdzie właśnie i ja się udaję. Wkrótce minąłem starą Batawię i szeroką i równą drogą wjechałem pomiędzy rzędy pięknych nowych domów, które składają Weltewreden czyli nową Batawię i stanąłem tam przed hotelem indyjskim, gdzie już zastałem kilku pasażerów zparo-statku Mikołaj. Pan Cremonier, gospodarz hotelu zaprowadził mię zaraz do pięknego apartamentu, który dla mnie przeznaczał. Później pokazało się, że apartament ten był przeznaczony dla kogo innego, więc musiałem swego ustąpić. Wprowadzono mię do dwóch pokoików dużo gorzej umeblowanych, o cenę których gdy zapytałem, powiedziano że płacić za nie będę przeszło pięćset złp. na miesiąc z jedzeniem (bez dodatku wina) z powozem, którym wolno przejechać się do dwudziestu razy na miesiąc, oraz z oświetleniem darmo. Wyniosło to bardzo drogo ale cóż było robić nieznając miejscowości? O czwartej godzinie dano mi śniadanie złożone z chleba, sera holenderskiego i masła roztopionego skutkiem gorącej temperatury. Wkrótce siedząc przed gankiem przy tém śniadaniu, zostałem oblężony tłumem przekupniów sprzedających różne drobiazgi, z któremi jednakże nie mogąc się porozumieć na migi, musiałem odłożyć na później stosunki handlowe. O szóstej zawezwano mię na obiad. Sala jadalna była na drugim końcu hotelu i spociłem się cały za nim tam zaszedłem. Zastałem stół przystrojony bardzo wspaniale, a białe ubiory mężczyzn i balowe stroje kobiet siedzących do koła, przypomniały mi słynny obraz Weroneza. *Wesele w Kanie.* Mimo głodu nic jeść nie mogłem gdyż sąsiedzi moi pożerali wszystko, chwytając szybko, jeszcze za nim półmiski stanęły przedemną. Dowiedziałem się później, że trzeba mieć swego oddzielnego lokaja, któremu posługacze hotelowi podają półmiski przeznaczone dla jego pana, inaczej bowiem wstaje się na czczo od stołu. Niemogę pominąć jednakże, że na tym obiedzie po raz pierwszy kosztowałem doskonałego indyjskiego owocu zwanego *nanka*, którego smak podobny do séra ze śmietany, a kształt jabłko przypomina. Były także banany większe i lepsze niż zwyczajne afrykańskie, oraz *mangis*, rodzaj winogron fioletowych nadzwyczaj słodkich i soczystych. Powróciwszy na noc do moich pokoi, zastałem owe oświetlenie gratisowe — był to rodzaj lampki ze szkaradnego szkła zielonego, wpośrodku której na czarnej i smrodliwej oliwie, pływał knot, oraz różne zatopione owady.

*(D. c. n.)*



Koszyk biały trzcinowy pokryty haftem.

Koszyków tego rodzaju do poszycia haftem, można dostać u p. Hirszla na Krakowskiem-Przedmieściu i u p. Benzee na Żabiéj ulicy. Można użyć do ozdobienia ich haftem zwyczajnych deseni kanwowych wedle upodobania. Koszyk którego modelik podajemy w drzeworycie, środkowy deseń w duże zęby wyszyty ma włóczką błękitną, ściegiem półkrzyżowym ukośnym. Rodzaj gładkiéj obrączki u samego dołu i góry, pokrywa się takimże ściegiem prostym koloru *cerise*, przytém również u dołu i u góry wyszywa się szlak w zęby, warkoczykiem plecionym z czarnéj aksamitki, przetykanym różyczkami z marszczonéj wstążeczki *cerise*, w których w pośrodku są guziki czarne aksamitne, zrobione z waty pokrytéj skrawkami aksamitu. Wierzch koszyka tak samo przybrany.

## O UBIORACH.

Oglądaliśmy u pani Włodkowskiéj kilka pięknych ubrań letnich, była pomiędzy niemi suknia biała muślinowa (łokieć muślinu, trzy łokcie szeroki rs. 1) na różowéj jedwabnéj, z takąż mantylką szalową (*echarpe*), podszytą również różowo i ogarnirowaną koronkami, a do tego biały tiulowy kapelusik, ubrany koronką i podpięty różowym kwiatem akacji. Druga suknia i mantylka z takiegoż muślinu, miała spód paljowy i biały krepowy kapelusik przybrany w barbki koronkowe i białe duże rumianki. Trzecia biała muślinowa miała u samego dołu wolant plisowany w drobne fałdki przyprasowane, żeby się dobrze trzymały, nad tym wstawki *(entre-deux)* z koronki najmodniejszéj obecnie, zwanéj *guipure de Cluny*, łączone takiemiż poprzecznemi paskami, podwleczonemi czarną aksamitką na dwa cale szeroką; staniczek bluzkowy, był podobnież przybrany. Podwleczenie to można dać z kolorowéj wstążki. Inna znów skromniejsza biała suknia, miała u dołu dwie

falbanki po nad któremi były wody podwleczone zielono, takież ubranie koło rękawów i mantylki szalowéj. Oryginalną i ładną była suknia, z wyrobu zwanego *satin chine croisé*, w kolorze jasno popielatym, ubrana zieloném *poult de soie* w ten sposób, że spódnica oszyta zieloną wodą, podniesioną i podpiętą była z jednego boku niby na drugiéj takiej samej, w miejscu któréj, pod podniesieniem, przyszyty był tylko stosownéj wielkości kawałek takiej saméj materji. Stanik tej sukni na żądanie osoby, dla któréj był przeznaczony, zrobiony został fasonem kostiumu, w którym zazwyczaj występuje osoba grająca rolę Małgorzaty w Fauście, to jest wycięty czworograniasto i z przodu bardzo głęboko, bo prawie do pasa. Pod ten stanik kładła się batystowa szmizetka, cała plisowana w fałdki i zrobiona pod szyję. Rękawy były w bufki przepinane zielono większe u góry, a coraz mniejsze u ręki. Podobały nam się także bardzo u pani Włodkowskiéj ładnego fasonu czepeczki z krepy w różnych kolorach po złp. 20. W magazynie p. Frybes przy ulicy Senatorskiéj, oglądaliśmy kilka ładnych kapelusików bardzo zgrabnego fasonu, pomiędzy niemi podobał się nam krepowy lila strojny w ciemniejsze aksamitne bratki, krepowy biały ubrany w trawkę zieloną potrząsany szklannemi kroplami rosy i oryginalny czarny koronkowy strojny w cekiny wyrabiane ze słomy i w takież kłosy. Załączamy tu w drzeworycie wizerunek angielskiéj maszyny do czyszczenia włosów, sprowadzonéj przez pana Aleksandra Kocha do jego fryzjerskiego zakładu. Maszyna ta w kilka minut czyści doskonale łupież niszczący włosy i nadaje tymże połysk i miękość wielką. Uwalnia w ten sposób zupełnie od mycia głowy, które nie każdy znieść może. Pan Koch urządziwszy ją, mając na celu jedynie dobro ogółu, nie podniósł z jej użyciem ceny strzyżenia ani fryzowania włosów, w salonach które na tenże cel urządził dla dam i dla panów, a w których czesanie i przystrajanie włosów, odbywa się od siódméj rano do dziewiątéj wieczór. Maszyna do łupieży, jest dopiero dla panów urządzoną, gdyż długie włosy kobiece wymagają innego przyrządu, pan Koch obiecuje jednakże sprowadzić tenże niezadługo. Skoro już będzie wprowadzony w ruch, nieomieszkamy donieść o tém naszym czytelnikom.



---

### Objaśnienie tablicy haftów i kroju.

Nr. 1. Tył i boki rannego muślinowego czepeczka.

Nr. 2. Wierzch tegoż czepeczka z haftowanych wstawek i wód marszczonych z muślinu oszyty do koła walensienką.

Nr. 3. Figura całego czepeczka.

Nr. 4 i 5. Połowa płóciennego kołnierzyka i połowa mankietu oszytego koroneczką do koła.

Nr. 6 i 7. Połowa kołnierzyka i mankietu z haftowanego płótna, pod które brzegiem podłożony muślin układany w drobne zakładeczki.

Nr. 8. Deseń na męzką czapeczkę haft złotą plecionką na orzechowym aksamicie, liście zielone cieniowane pelą atłaskiem, owoce pelą amarantową.

Nr. 9. Czesanie włosów najwięcéj używane w Paryżu. Na przodzie założony diadem (cena rs. 3 u p. Thonnesa). Kapelusz paryzkiego fasonu z główką która może wejść dogodnie na podobnysposób czesania, widzieliśmy już u pani Włodkowskiéj, gdyby więc czesanie włosów wysokie powszechnie przyjętém zostało i podobny fason kapeluszy upowszechniłby się bez wątpienia. Główka takiego kapelusza jest podniesiona niejako po nad rondkiem, otwarta zawsze i przystrojona z tyłu, lecz dość szeroka aby pokryć wysoko założone włosy.

Nr. 10. Ubranie głowy greckie również używane, w opaski czarne aksamitne (*bandelettes*) kok wyżéj podniesiony według opisu p. Kocha zamieszczonego w ostatnim dodatku. Ubranie to robi się w ten sposób, że aksamitki przytwierdzone są na trzech drucikach, z których jeden dłuższy a dwa krótsze, tworzą razem potrójne opasanie głowy. Można aksamitki te naszyć rzędem pojedyńczym, w odstępach, koralików, perełek białych, złotych, lawowych lnb stalowych paciorków, nie większych ni mniejszych jak ziarnka pieprzu zwyczajnego

Nr. 11, 12, 13, 14. Szlaki tasiemeczkami i haftem.

Nr. 15. Szlak do chustki od nosa, haft sznureczek i muszki orzechową bawełną.

Nr. 16. Ubranie panny młodéj. Suknia organtynowa biała, ustrojona aplikacją z białego perkalu. Pasek morowy biały z klamrą z konchy perłowéj, welon z illuzji pokrywający całą postać, gierlanda i bukiet u pasa z kwiatu pomarańczowego.

Nr. 17 i 18. Ubranie po domu, suknia w kliny zwana *gabrielle* z pasmanterją tegoż koloru i szlafroczek z szarego batystu z pelerynką obdzierganą pąsowo i ubraniem na przodzie podobnież obdzierganém, reszta alfabet cyfry i tarcze.

Nr. 19. Kwadrat z sukna karmazynowego. Z takich kwadratów wyszytych jedwabiami i złotem w guście chińskim, ułożyć można serwetę do nakrycia stołu. Deseń który podajemy robi się w następujący sposób; wazon w pośrodku haftuje się jedwabiem zielonym i paljowym, (odbicie ciemniejsze oznacza kolor zielony, jaśniejsze paliowy); na jednym z wazonów bocznych jest rodzaj bukietu, użyć do liści zielonego jedwabiu do kwiatu paljowego, na drugim wazonie jest rodzaj leżącego owocu, ten wyhaftuj złotą grubą nitką, kwiaty jak u poprzedzającego wazonu, w pośrodku znów widać jakoby konchę i do niéj użyć koloru zielonego i paliowego, te trzy przedmioty stoją jakby na poręczy, trzeba ją wyszyć złotą nitką lub złotą wązką tasiemeczką, figurki któremi jest cały kwadrat posiany haftuje się czarnym jedwabiem, wszystko ściegiem atłaskowym. Podszyć potém trzeba każdy kwadrat podszewką, złączyć jeden z drugim, a szew łączący je pokryć tasiemeczką jedwabną, którą obszyję się także i brzegi kwadratu.

20. Torbeczka z aksamitu lub sukna, wyszycie tasiemeczką podłożyć klejonką żeby spód był sztywny, wszyć materję która będzie stanowić podszewkę i woreczek, nawlec potém wstążeczką do ściągania.

Nr. 21. Koszulka bengalowa z wycięciem czworograniastém u góry. Połowa przodu marszczonego ze wstawkami.

Nr. 22. Plecy. 23 Rękaw.

Nr. 24. Wyszycie halki taśmą kolorową.

Nr. 25. Kołnierzyk atłaskiem 26, 27, Kołnierzyk i mankiety 28, 29, toż samo.

Nr. 30. Spódniczka pikowa naszywana sznureczkami przystębnowanemi która ukrochmalona zastępuje na rano krinolinę.

Nr. 31. Koniec do szarfy haft na materji jedwabiami kolorowemi.

Nr. 32. Chustka do nosa haft atłaskiem, reszta szlaki do kaftaników.

Nr. 33. Motyl z czarnych pociorek do wyszycia na róg krawatki lub szarfy. Tarcze, cyfry, imiona.

# PRZEPISY GOSPODARSKIE.

## Zatrudnienia ogrodnicze w miesiącu Lipcu.

Wielką zimową rzodkiew na potrzebę jesienną, powtórnie zasiać w ostatnim tygodniu miesiąca bieżącego.

Jeśli na świeżo założonych grzędach szparagowych roślinki nie weszły, w ostatnim tygodniu bieżącego miesiąca obsadzić je można innemi roślinami, z grzędy nasiennikowej wybranemi. Karpki szparagowe wybierają się widełkiem trójzębnym, bo ten korzeni nie nadweręża. Obecnie ani łodyg ni korzeni szparagowych przycinać nie trzeba.

W miesiącu bieżącym można jeszcze raz lub dwa razy zasiać fasolę piechotę, a jeśli jej nie zwarzą ranne przymrozki jesienne, we Wrześniu otrzymamy z niej potrawę przyjemną.

Zbiór owocu teraz się zbliża, a oprócz wiśni, teraz dojrzewają także wcześniejsze gatunki moreli, brzoskwiń, śliwek i gruszek. Zbierają się pestki brzoskwiniowe celem hodowania z nich młodych drzewek, zaraz w miejscu lub w szkółce drzewek kładą się w ziemię.

Chcąc hodować nowe gatunki agrestu, ziarnka po oczyszczeniu i osuszeniu, zaraz sadzi się na grzędzie. Do siewu tylko dobre bierze się gatunki. Następnéj wiosny nasienie wejdzie, a w drugim roku w osobnych szkółkach rozsadza się krzaczki.

Największej części kwiatów letnich nasiona obenie dojrzewają. Niektórych takich kwiatów nasienie, bo się łatwo wysypuje, ostrożnie zbierać należy, jak np. balsaminy, nasturcji, rezedy itd.

Wiele wysokopiennych letnich kwiatów i roślin podkrzewnych obecnie umocować do palików. Rezedy w doniczkach wykonywa się pierwszy siew zimowy, tudzież letnich lewkonij, aby zimą kwitły.

---

### Maliny i truskawki.

Bierze się następująca proporcja, funt cukru na talerz głęboki ułożonych malin, lub truskawek, z których te ostatnie zawsze lepiej czystą przepłukać wodą i zostawiać szypułki by więcej wsobie mieściły zapachu i nie tak się rozłaziły, gdy ociekną rzucać na gorący wyszumowany i usmażony już syrop; w czasie zagotowania jagód trzeba się strzedz zamieszania ich łyżką, tak są wtenczas miękie, że się rozcierają, należy więc tylko z lekka okrążać je w rądelku lub kamiennym tyglu, a zbierając łyżką szum zwierzchu, jagód nie dotykać, skoro ostygną już są trwałe, jeżeli nie były wprzód przez nieostrożność pogniecione.


### Wiśnie.

Wydrążając wiśnie, jak najmniej je rozdzierać i rzucać zaraz w zimną wodę, żeby zadębiały i soku nie traciły, wybrać potem na przetak lub sito, by trochę osiękły, ponadziewać ziarnkami z potłuczonych pestek i zalać letnim syropem biorąc tę proporcję: półtora funta cukru na talerz głęboki wydrążonych wisien; po upływie kilkunastu godzin zlać syrop, wyszumować i zalać napowrót wiśnie lecz już gorącym, za trzecim razem znów zasmażyć syrop i po nowym jego wyszumowaniu wrzucić we wrzący wiśnie i smażyć do należytej gęstości.

---



KÓŁKO DOMOWE za Miesiąc Lipiec r. 1865.
Nº 1.
Nº 2.
Nº 3.
Nº 4
Nº 5.
Nº 6.
Nº 7.
Nº 8
Nº 10
Nº 11
Nº 12
Nº 13.
Nº 14
Nº 15.
Nº 16.
Nº 17.
Nº 18.
Nº 19.
marszczenie
marszczenie
środek czepka
środek kołnierzyka
środek mankietu



N°19
N°33.
N°30
N°29.
N°21.
N°31
N°23.
N°20
N°25.
N°27.
wstawka
N°28.
N°24
N°22. plecy
N°26
N°32